Dziś w numerze: ● A. MAKOWIECKI **Hebel i słowo** ● J. SKOSZKIEWICZ **Jaka to głupia ryba ten dorsz** ● **Między figowym listkiem a mini** ● **Bitwa o Polanicę** ● **Sąd najwyższy**

odgłosy

JEDNOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

15 (508)
14. IV. 1969 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

Fot. W. Parys

KAROL BADZIAK

Dolce vita POD szczytami

Zakopane w marcu to szał i szaleństwo, niekoniecznie zaraz białe, szczyt zimowego sezonu, sezon szczytu. W tym roku największym zakopiańskim szaleńcem okazał się kaskader, który swym wyskokiem z kolejki linowej oszołomił cały kraj. Otarł się chłopak o śmierć, a to fascynuje. Powtórzył w nieco zmienionej wersji skok jakiego dodokonał jeden z górali w czasie okupacji. Tamten skakał ze strachu, ten z odwagi. Tamten z konieczności, ten dla pieniędzy, tamten ażeby ratować życie, ten dla sztuki. Tamten z Kasprowego, ten z Kuźnic.

Przewodnicy tatrzańscy prowadzą dziś wycieczki pod ów fatalny smrek. Zakopane wzbogaciło się o jeszcze jedną osobliwość, prasa o jeszcze jedną sensację, a życie o jeszcze jeden kontrowersyjny wyczyn. Świat toczy się dalej. Z zasapanego pociągu wyskakują w zakopiańską wiosnę prężni narciarze, z wagonów pierwszej klasy wytaczają się eleganckie paniusie z inicjatywy nie tylko prywatnej, z wagonów sypialnych cudzoziemcy, z wagonu restauracyjnego wczasowicze etwupe. Nie wiadomo czy wszyscy tutaj wypoczną, jest gwarancja, że wszyscy zostaną oskubani.

Zakopane wita ich góralskimi dorożkami, góralskimi lasami, pogodą jak żyletka, powietrzem jak kryształ, cenami jak Giewont. Miejscowym góralom pozostała jeszcze miejscowa komunikacja, resztę łącznie z noclegami zagarniają obrotni faceci z nizin. Przyjeżdżają tutaj z Radomia, Gdańska i Grójca, przywożą grubą forsę, budują luksusowe wille, wynajmują pokoje, obrastają w pióra, tajemne kontakty, szerokie znajomości i bezczelność. Pokoje wynajmują wyłącznie cudzoziemcom. Zupełnie jak „Orbis".

Na szczęście jest jeszcze paru górali w Zakopanem. Ich chaty nie dorównują wprawdzie komfortem prywatnym pensjonatom, ale ceny spotykają się na tym samym szczycie. Stosunek górali do ceprów jest nadal pobłażliwy i wyrozumiały. Rozwożą ich sankami, ratują zagubionych w Tatrach, częstują bryndzą, łudzą mirażem folkloru, fikcją literacką Zakopanego. Autentycznego Zakopanego faktycznie już nie ma. Pozostała makieta miasta-sanatorium, miasta-wypoczynku, dalekie góry są jeszcze prawdziwe ale czy na długo? Co roku Tatry są niższe o jeden centymetr. Prawdziwych górali też coraz mniej. Niby te same kierpce, ciupagi i guńki, lecz to właściwie cepeliowskie atrapy górali.

Przy małym piwie zgadało się na ten temat z jednym zakopiańczykiem. Starszy, poważny, zatroskany o swych krajan i rodzinę. Syn na uniwersytecie, córka w technikum hotelarskim. Jacy tam z nich górale,

Dalszy ciąg na str. 5

Kultura polska w świecie

Nie tylko braterstwo broni

ROZMOWA Z JURIJEM SOKOŁOWEM

Wzrost znaczenia naszego kraju w świecie, jego ogromny dorobek gospodarczy i kulturalny, który zawdzięczamy socjalistycznym przemianom, zrośnięty jest trwale z imieniem Polski Ludowej. Wkroczyliśmy w rok jubileuszowy. Ćwierć wieku wytężonej pracy to dobra okazja do podsumowań, bilansów a także refleksji, aby uprzytomnić sobie miejsce, w którym jesteśmy. Z tą myślą rozpoczynamy druk cyklu wywiadów na temat roli i znaczenia kultury polskiej w świecie, w których wypowiadają się przedstawiciele placówek dyplomatycznych krajów demokracji ludowej. Jako pierwszy na pytania przedstawiciela „Odgłosów" odpowiada II sekretarz Ambasady ZSRR w Polsce Jurij Sokołow. W kolejnych numerach naszego tygodnika opublikujemy następne wypowiedzi z tego cyklu.

„ODGŁOSY": Przyjaźń Polski i Związku Radzieckiego znajduje swój najważniejszy, choć przecież nie jedyny wyraz we wzajemnej, wszechstronnej współpracy pomiędzy naszymi krajami. Jakie miejsce zajmuje w tych ożywionych kontaktach wymiana kulturalna?

JURIJ SOKOŁOW: Decydującą rolę w umocnieniu kulturalnych związków między naszymi narodami odegrała zawarta 30 czerwca 1956 r. umowa o współpracy kulturalnej między naszymi krajami, na pod-

Dalszy ciąg na str. 2

ze ŚWIATA

Oświadczenie rządu ZSRR na temat sytuacji na granicy radziecko-chińskiej, gdzie doszło do poważnych incydentów, sprowokowanych przez maoistów, przyjęte zostało na świecie jako nowy akt dobrej woli Związku Radzieckiego. Jest w nim bowiem zawarta propozycja rozmów, prowadzonych już przed laty, ale przez stronę chińską zerwanych.

Radziecki dokument przypomina, że jeszcze w niedalekiej przeszłości przywódcy ChRL niejednokrotnie stwierdzali, iż granice nie stanowią problemu i nie mogą być przedmiotem żadnych zatargów. Jakie więc zaistniały nowe fakty?

Tym faktem jest zmiana polityki ChRL — i wewnętrznej, i zewnętrznej. Tzw. „rewolucja kulturalna" była na przykład prowadzona pod hasłami antyradzieckimi, które wyniesiono do rangi elementu polityki państwowej maoistów.

Aby zrozumieć, o co właściwie chodziło w incydentach nad rzeką Ussuri, trzeba zauważyć czas, w którym je spowodowano. Wkrótce po nich rozpoczął przecież obrady — po z górą 12-letniej przerwie — IX Zjazd KPCh. Umacnia to w przekonaniu, że prowokacje graniczne potrzebne były maoistom na użytek wewnętrzny, dla skonsolidowania społeczeństwa na gruncie antyradzieckości. W oficjalnym komunikacie o zjeździe, który zresztą nie wiadomo gdzie obraduje, wśród 1512 delegatów wymienia się również „obrońców granic". Nieprzypadkowo. Także nie bez powodu dni zjazdu wypełnione są zakrojonymi na szeroką skalę manifestacjami, odbywającymi się przy wtórze bębnów i piszczałek i wypełnionymi wybuchami entuzjazmu i radości. Ta scenerią ma swój polityczny sens, ma wykazać powszechne poparcie dla linii Mao Tse-tunga i Lin Piao, linii wielkomocarstwowości i nacjonalizmu.

I z tego właśnie kursu politycznego wypływają wszelkie działania antyjednościowe i antyradzieckie.

Polityka Pekinu wyrządziła już wiele szkody. Przypomnijmy chociażby, że odmowa skoordynowania pomocy dla walczącego Wietnamu zachęca amerykańskich interwentów do działań wojennych i zwiększania z pokojowym rozwiązaniem konfliktu. Przypomnijmy także, że chińskie prowokacje graniczne przyjęto z nieukrywaną radością w Bonn, gdzie po nowym napięciu w stosunkach ChRL—ZSRR wiele sobie obiecują zachodnioniemieccy odwetowcy.

W tej sytuacji okazana przez Związek Radziecki gotowość dwustronnych konsultacji z ChRL ma szczególne znaczenie. We wspomnianym powyżej oświadczeniu rząd ZSRR odrzuca chińskie roszczenia terytorialne jako nieuzasadnione historycznie i prawnie. Nie odmawia jednak rozważenia rozbieżności „w spokojnej atmosferze i drogą rozmów". Oznacza to możliwość wejścia napięcia na drogę deeskalacji.

Dotychczas brak oznak, które by wskazywały na pozytywne przyjęcie przez Pekin radzieckiej inicjatywy. W interesie sił antyimperialistycznych leży, aby nie została ona odrzucona. I stąd oświadczenie rządu ZSRR przyjęte zostało z zadowoleniem przez międzynarodowy ruch robotniczy i wszystkie siły postępu i pokoju.

Ostatnie dni marca i pierwsze kwietnia zaznaczyły się w Czechosłowacji nowym atakiem sił antysocjalistycznych. Tym razem jako pretekst wykorzystano zwycięstwo hokeistów czechosłowackich nad radzieckimi. Z komunikatów radiowych i prasowych wiedzą Czytelnicy o przebiegu zajść, które — rzecz oczywista — miały określone cele polityczne. Ich inicjatorom i organizatorom chodziło o wywołanie kolejnego kryzysu.

Zaniepokojone nowymi faktami Prezydium KPCz i rząd czechosłowacki powzięły kroki, które mają zagrodzić drogę aktywności sił i tendencji, które wtrącają Czechosłowację w stan ciągłego napięcia. Jako że niechlubną rolę odegrała w tym część prasy, radio i telewizja środki te odnoszą się również do nich i mają uniemożliwić wykorzystywanie ich przeciwko procesowi stabilizacji życia.

Dalszy rozwój wydarzeń z pewnością uzależniony będzie od konsekwentnosci we wprowadzeniu tych kroków w życie.

W ostatnich dniach zwraca także uwagę problem bliskowschodni. Zgodnie z wcześniejszymi przewidywaniami, o czym pisaliśmy na tym miejscu, rozpoczęły się konsultacje czterech wielkich mocarstw. Zapoczątkowało je spotkanie w siedzibie misji francuskiej w ONZ. Po pierwszych rozmowach ogłoszono wspólny komunikat, który daje wyraz zaniepokojeniu czterech mocarstw sytuacją na Bliskim Wschodzie, określa ją jako naglącą i podkreśla, że celem konferencji jest rozważenie, „w jaki sposób cztery mocarstwa mogą przyczynić się do pokojowego, politycznego rozwiązania na Bliskim Wschodzie w oparciu o rezolucję Rady Bezpieczeństwa z 1967 roku, którą w pełni akceptują i popierają".

Komunikat zapowiada, że konsultacje będą miały charakter prywatny i poufny, ale będą utrzymywane kontakty ze stronami bezpośrednio zainteresowanymi.

Po nowojorskich rozmowach nie należy z pewnością oczekiwać gotowych rozwiązań problemu. Otwierają one jednak możliwości osiągnięcia postępu. Ich powodzenie uzależnione będzie przede wszystkim od bezpośrednio zainteresowanych w konflikcie — ich gotowości pokojowych rozstrzygnięć.

Spotkania przedstawicieli czterech mocarstw jak się przypuszcza — potrwają dłużej.

W. SŁAWSKI

Nie tylko braterstwo broni

Dalszy ciąg ze str. 1

stawie której podpisywane są dwuletnie plany. Wzajemne kontakty w ciągu ostatnich 10—12 lat kilkakrotnie powiększyły się i w dalszym ciągu stale wzrastają. Na przykład jeśli w 1965 r. wyjeżdżało do Związku Radzieckiego około 500 polskich działaczy kultury i sztuki, w PRL zaś goszczono także około 500 radzieckich pisarzy, artystów, reżyserów, malarzy, rzeźbiarzy, kompozytorów, muzyków, pracowników filmu, teatru itd., to w r. 1968 cyfry te znacznie wzrosły. Jak wynika z wyliczeń do PRL wyjeżdżało w r. ub. około 950 przedstawicieli kultury radzieckiej, a my w Związku Radzieckim przyjmowaliśmy około 800 gości z Polski.

Jak widać z tych danych nasza współpraca w dziedzinie kultury stale się rozszerza. Dlatego też dla lepszej, bardziej efektywnej realizacji tej współpracy resorty i stowarzyszenia twórcze stopniowo konkretyzują swoje kontakty podpisując co roku protokoły robocze. Aktualnie takie protokoły podpisują związki pisarzy, plastyków, kompozytorów, filmowców, dziennikarzy, a także komitety do spraw radia i telewizji, wreszcie agencje artystyczne „Goskoncert ZSRR" i „Pagart". Protokoły te przewidują różnorakie formy współpracy: wymianę osób, wymianę zespołów artystycznych i wykonawców, wzajemną organizację wystaw i ekspozycji, organizowanie festiwali filmowych, wspólne realizacje filmowe i świadczenie usług w tej dziedzinie, wymianę audycji radiowych i telewizyjnych, wspólne wydania książek, organizowanie teoretycznych konferencji, seminariów, spotkań autorskich.

„ODGŁOSY": Efekty tej współpracy, bardzo przecież szerokiej, zależą w dużym stopniu od znalezienia najwłaściwszych form wzajemnych kontaktów. Gdzie, zdaniem Pana, realizują się one najkorzystniej?

JURIJ SOKOŁOW: Jedną z najważniejszych form współpracy kulturalnej między ZSRR a PRL jest nieustannie rozszerzana wymiana zespołów artystycznych i poszczególnych wykonawców. Tylko w ostatnich trzech latach przebywali w Polsce na gościnnych występach: Państwowy Zespół Ludowego Tańca ZSRR pod dyrekcją I. Moisiejewa, zespół choreograficzny „Bieriozka", Leningradzki Akademicki Teatr im. Gorkiego, orkiestra Moskiewskiej Filharmonii Państwowej pod dyrekcją K. Kondraszina, rosyjska chóralna kapela pod dyrekcją A. Jurłowa, Białoruski Państwowy Zespół Pieśni i Tańca pod kierownictwem G. Cytowicza, trzykrotnie Moskiewski Music-Hall, corocznie zespół radzieckiego cyrku, moskiewski „Balet na lodzie", Zespół Pieśni i Tańca Armii Radzieckiej im. Aleksandrowa, cyrk na lodzie, symfoniczna państwowa orkiestra ZSRR, ukraiński balet na lodzie, orkiestra estradowa pod dyrekcją Ludwikowskiego, orkiestra estradowa Armeńskiej SRR pod dyrekcją Orbeliana i wiele innych.

Ogromną popularnością w naszym kraju cieszą się dobrze nam znane zespoły „Mazowsze" i „Śląsk". W Związku Radzieckim występował Teatr Powszechny z Warszawy, poznański chór chłopięcy, wrocławski teatr pantomimy, Teatr Klasyczny z Warszawy, orkiestra symfoniczna Krakowskiej Filharmonii, orkiestra estradowa pod dyrekcją Klimczuka, grupa estradowa z udziałem M. Fogga, zespoły estradowe „Polanie", „Czerwono-Czarni", „Czerwone Gitary", teatr „Wagabunda".

Znacznym wydarzeniem kulturalnym w życiu naszych krajów była dokonana w grudniu 1967 r. wymiana zespołów Teatru Wielkiego w Moskwie i Warszawie.

„ODGŁOSY": A jak układa się współpraca pomiędzy naszymi krajami w innych dziedzinach sztuki?

JURIJ SOKOŁOW: W dziedzinie plastyki realizujemy stale wymianę wystaw i ekspozycji, ma też miejsce umacnianie kontaktów między związkami plastyków naszych krajów. W ostatnich latach demonstrowano w PRL wystawy naszych rzeźbiarzy. S. Konienkowa i J. Bielaszowej, malarzy S. Gierasimowa, K. Juona, I. Kłyczewa a także wystawę zbiorową plastyki radzieckiej poświęconą 50-leciu Wielkiego Października i wystawę „Metodyka konstrukcji artystycznej". Wystawa obrazów gruzińskiego ludowego malarza N. Pirosmanaszwili była uzupełniona kolekcją artystycznych wyrobów z wojłoku, tkanin oraz eksponatami gruzińskiego rzemiosła ludowego. Jednocześnie zostały otwarte 3 wystawy fotogramów na temat starej i nowej Gruzji i odbywały się występy gruzińskiego wokalnego zespołu „Gordella".

W Związku Radzieckim nasi miłośnicy plastyki obejrzeli wystawę rzeźb X. Dunikowskiego, plakatów T. Gronowskiego, obrazów B. Wilimowskiej, gobelinów T. Chane oraz wystawę współczesnego polskiego malarstwa, polskiej grafiki książkowej i ilustracji.

Jedną z form rozszerzonych kontaktów kulturalnych, wzajemnego poznawania i popularyzowania sztuki naszych krajów są przeprowadzane systematycznie w ZSRR i PRL „Dni Filmu" oraz festiwale dramaturgii. Inicjatywy te, obejmujące najczęściej miliony uczestników sprawiają, że widzowie zapoznają się z ostatnimi osiągnięciami dramaturgii i filmu obu krajów.

Stale polepsza się współpraca w dziedzinie literatury. W Związku Radzieckim przetłumaczono ponad 700 tytułów polskich książek na wiele języków naszej wielonarodowościowej ojczyzny. Dobrze są u nas znane i lubiane utwory klasyków literatury polskiej i pisarzy współczesnych: A. Mickiewicza, H. Sienkiewicza, B. Prusa, J. Tuwima, L. Kruczkowskiego, W. Broniewskiego, J. Iwaszkiewicza, J. Putramenta, S. R. Dobrowolskiego, T. Brezy, W. Żukrowskiego i wielu innych. Ogromna ilość książek rosyjskich i radzieckich pisarzy została przełożona w Polsce. Wysoko cenimy sobie wielką pracę przekładową i popularyzowanie w Polsce naszej literatury. Tak więc polscy pisarze Leopold Lewin i Jerzy Jędrzejewicz dekretem Prezydium Rady Najwyższej ZSRR zostali w roku 1967 odznaczeni orderami „Znak Paczjota".

„ODGŁOSY": Nasz kraj obchodzi w tym roku 25 rocznicę powstania Polski Ludowej. Jest to dla nas uroczystość ogromnej wagi. Czy wydarzenie to znajdzie swoje odbicie w Związku Radzieckim, zwłaszcza w realizowanej z takim powodzeniem wymianie kulturalnej pomiędzy naszymi krajami?

JURIJ SOKOŁOW: Nasze narody mają dobrą, braterską tradycję wspólnego świętowania uroczystych dat i rocznic. To zbliża szczególnie. Tak więc w r. 1967 kiedy cały nasz kraj obchodził 50-lecie Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, w PRL przeprowadzono cały szereg przedsięwzięć kulturalnych mających masowy, jubileuszowy charakter: festiwal radzieckiego filmu, festiwal rosyjskiej i radzieckiej dramaturgii, festiwal piosenki radzieckiej. W związku z rokiem jubileuszowym prezentowano w Polsce wystawę dokumentów historycznych „Wielka Socjalistyczna Rewolucja Październikowa a Polska", wystawę karykatury politycznej, wystawę „Armia Radziecka w plastyce", wystawy fotogramów o rozwoju radzieckiego filmu, teatru, muzyki, architektury.

Z kolei w Związku Radzieckim, w roku jubileuszowym 25-lecia Polski Ludowej, zostaną zorganizowane „Dni Kultury Polskiej". Wśród różnorakich, masowych imprez, które cieszą się u nas zawsze wielką popularnością godny odnotowania będzie występ zespołu Wojska Polskiego, wizyta warszawskiego Teatru Klasycznego, grupy estradowej „Mamy 25 lat". Zostanie otwarta wystawa „Polska sztuka stosowana w 25-leciu", wystawa polskiego plakatu, książki, fotografii artystycznej, wystawa fotogramów „25 lat Polski Ludowej". W ramach „Dni" zostanie przeprowadzony turniej radiowy o przyjaźni radziecko-polskiej, festiwal polskich filmów telewizyjnych, tydzień polskiej telewizji, dekada sprzedaży polskich płyt gramofonowych, dekada polskiej książki, pokaz polskich filmów artystycznych i dokumentalnych.

Prócz tego w r.b. w naszym kraju odbędzie się festiwal polskiej muzyki, festiwal polskiego filmu i festiwal polskiej dramaturgii. Wszystkie te festiwale będą nosiły jubileuszowy charakter w związku z 25-leciem PRL.

Z kolei w październiku rb. po raz pierwszy odbędą się w Polsce „Dni Kultury Rosyjskiej SFRR" posiadające ważne znaczenie choćby dlatego, że zostały zorganizowane w roku 25-lecia PRL i niejako w przeddzień obchodów 100-lecia urodzin W. I. Lenina. Imprezy „Dni Kultury Rosyjskiej SFRR" odbędą się w Warszawie, Krakowie, Katowicach, Łodzi, Gdańsku, Poznaniu i w innych miastach. Do Polski przyjadą najświetniejsze rosyjskie zespoły: orkiestra symfoniczna Leningradzkiej Państwowej Filharmonii pod dyrekcją J. Mrawinskiego, rosyjska chóralna kapela pod dyrekcją A. Jurłowa, Teatr im. Wachtangowa, Krasnojarski Zespół Tańca Ludów Syberyjskich, Północno-Osietyński Zespół Tańca, zespoły koncertowe, ludowy artysta ZSRR Arkady Rajkin z grupą aktorów teatru miniatur, cały szereg wybitnych radzieckich wokalistów, instrumentalistów i artystów baletu.

Jednocześnie do Polski zostanie wysłana wystawa rosyjskiego współczesnego i klasycznego malarstwa, wystawa „Pomniki historii i kultury RSFRR". Prócz tego w Katowicach odbędzie się festiwal radzieckiej dramaturgii i festiwal filmów zrealizowanych w wytwórniach RSFRR.

Wypada zauważyć, że w PRL w ostatnich latach zorganizowano dni kultury republik związkowych ZSRR: Armenii, Gruzji, Kazachstanu, Mołdawii, Litwy, Ukrainy, Białorusi, Uzbekistanu, Turkmenii, jednakże nie miały one tak masowego charakteru jak zamierzone „Dni Kultury RSFRR".

„ODGŁOSY": Jak Pan ocenia perspektywy dalszego zacieśniania stosunków kulturalnych między Polską a Związkiem Radzieckim?

JURIJ SOKOŁOW: Przedstawiłem niektóre formy kulturalnych kontaktów, które systematycznie są doskonalone i pogłębiane. W wywiadzie trudno jest zarysować całość współpracy w dziedzinie kultury. Przecież rozmawiamy tu o wymianie kulturalnej między ZSRR i Polską w oparciu o międzypaństwowe umowy. A sporo aktywnych kulturalnych kontaktów realizuje się poprzez Towarzystwa Przyjaźni między naszymi krajami, poprzez związki zawodowe, organizacje społeczne i młodzieżowe, współpracujące ze sobą województwa i miasta, wyższe uczelnie. Wiele pracy w tej dziedzinie dokonał także Dom Kultury Radzieckiej w Warszawie.

Jednakże nawet krótki przegląd dzisiejszego stanu i perspektyw współpracy kulturalnej między Związkiem Radzieckim a Polską pozwala stwierdzić, że kontakty kulturalne, pogłębiają się wraz ze wzrostem wzajemnego zainteresowania naszych narodów rozwojem i osiągnięciami socjalistycznej kultury w obu krajach. Rezultatem tego jest dalsze zbliżenie naszych kultur, lepsze poznanie wzajemne i umocnienie przyjaźni między naszymi narodami.

Rozmowę przeprowadził:

KONRAD FREJDLICH

ŁODZIANIE W KARYKATURZE

LUDWIK BENOIT
aktor i reżyser

Rys. S. Arabski

ANDRZEJ MAKOWIECKI

HEBEL i SŁOWO

Nie chciałbym pisać, ale czas bluźnierca
Zmusza mnie zmienić, co kiedyś przyrzekłem
Wiersz poniechany to jak zawał serca,
Jakbym za bary mocował się z piekłem.
Tu mnie coś dusi, tam ogniem przypala,
Więc muszę z siebie ból ten wyładować —
Z nim się burzliwa spiętrza myśli fala,
Każe do końca wierności dochować.

1

Przyszła pocztą do redakcji książka w twardej okładzinie i był w niej ten wiersz. Legła na biurku czekając na recenzenta. Napatoczył się literat w wymiętym palcie: trzydniowy zarost, dwuletnie kędziory. Wyglądał na głodnego, więc szef od krytyki dał mu tę książkę i mówi:

— Napisz. Zrób.

Ale on nie miał akurat nastroju. Powiedział:

— Wiesz, gdyby to był Aragon, albo Rilke, albo Różewicz, no, sam rozumiesz, wiesz...

Leży na biurku książka w twardej okładzinie i nie ma komu zrecenzować.

Czytam.

Kilkadziesiąt zwartych, treściwych wierszy.

Można się nad tym zadumać. Można wzruszyć. Można dokonać analizy formalnej, skreślić notkę na dwie strony i zarobić setkę. Ale w książce jest wstęp, a we wstępie zdanie, które mnie dręczy, szokuje; rozpala ciekawość, podsuwa pomysł reportażu.

Idę więc do Stanisława Czernika, autora wstępu. Zbieram z ust pisarza pierwsze okruchy do biografii Bronisława Wieczorkowskiego, autora wierszy.

Wiem już, że ma siedemdziesiąt pięć lat.

Wiem, że do cna wypatrzył wzrok i dlatego jego rękopisy, przechowywane troskliwie przez Stanisława Czernika, są takie rozmazane, nieczytelne

Wiem, że jest skromny i wrażliwy, i że będę musiał uważać, aby go nie urazić, kiedy nazajutrz pojadę na Chojny i przy małej oblodzonej uliczce odnajdę jego dom.

2.

A przecież czułem się swobodnie.

Siedzieliśmy przy masywnym dębowym stole, w mrocznym pokoju; przez zapocone okna ścielił się widok drzew pomarzłych w ogrodzie i zielonej altanki, w której rajcowały głośno nastraszone wróble; ciepło szło na mieszkanie od buzującego pieca i rozpalonej kuchennej kamionki. Było dobrze. Piliśmy mocną herbatę i czarne wino, jedliśmy jajka na twardo, pszenne bułki z masłem i krwiste jabłka, które wniosła na zdobnym talerzu żona poety. Paliłem papierosy i rozglądałem się po ścianach zawieszonych portretami rodu. A potem człowiek w granatowej marynarce, w kraciastej flanelowej koszuli, zażywny, pogodny, o twarzy bez zmarszczek i nie całkiem jeszcze posiwiałych, krótko, niemal po turecku przystrzyżonych włosach, w okularach rogowej oprawy z podpalanym szkłem, przez które oczy wypatrzone od pisania i czytania wydawały się zupełnie zdrowe — roztoczył przede mną drogę swego życia.

Urodził się na Bałutach, które u końca ubiegłego wieku były dzielnicą cuchnących rynsztoków i niewysłowionej nędzy, lecz on tej panoramy w pamięci nie zachował, bo, jak powiada, jeszcze w poduszce rodzice przenieśli go na Chojny, gdzie zamieszkali przy ulicy Śląskiej. Ojciec był robociarzem i pracował na Widzewie, a matka harowała w domu nad balią, albo przy dzieciakach, których było czworo, i z których wyżył on jeden: dwoje pomarło w dzieciństwie, a starsza siostra tuż przed pierwszą wojną światową podczas epidemii tyfusu.

Kiedy miał osiem lat, trafił do elementarnej, potajemnej szkółki, gdzie posiadł w niedużym stopniu umiejętność czytania i pisania, i to — jeśli nie liczyć kilku lekcji, których udzielił mu powstaniec-kaleka, anonimowy patriota ukrywający się przed policją — stanowiło całe jego oficjalne wykształcenie.

Ale twardą szkołę dało mu od początku życie. Oswoił się z głodem i z zimnem, z obrazem ludzkiej udręki. Otarł się o strajki, które napływały falami nieszczęścia, i o rewolucję 1905 roku; zapamiętał suchy trzask wystrzałów podczas masakry na Zarzewie i ludzi w konwulsjach drących uliczny bruk

Chojny czasu letniej pory przypominały wówczas zapadłą wiochę. Piachy, poszarzałe trawy. Łany mizernego zboża dochodziły z obu stron aż do ulicy Rzgowskiej, do torów kolejowych, po których teraz przejeżdżają z łoskotem dalekobieżne pociągi.

— Wybiegałem boso w pole — wspomina z uśmiechem — i płoszyłem przyczajone na miedzach zające. To była moja jedyna rozrywka — do chwili, kiedy mając dziewięć lat, nie zetknąłem się po raz pierwszy z poezją Wiersze Odyńca wznieciły we mnie płomień niepokoju, zapadły mi w serce, więc chociaż dalej chętnie wychodziłem na bosaka w pole, to już nie ganiałem zajęcy, tylko szukałem ustronnych miejsc, żeby sobie rozmyślać o różnych sprawach i tłukły się we mnie niejasne przeczucia. Zrozumiałem je dopiero, kiedy miałem trzynaście lat i wyszperałem u Żyda na bazarze cztery tomy poezji Mickiewicza z piękną przedmową Piotra Chmielowskiego. Czytałem po całych dniach i wpatrywałem się długimi tygodniami w portret poety, którego twarz objawiała mi za każdym razem inne, ale zawsze wielkie tajemnice. Zapragnąłem napisać wiersz.

Było to pragnienie szalone. Poświęcił mu wszystkie swoje chłopięce marzenia.

Szukał tropów. W życiu i wśród książek z jarmarcznych straganów. Parę tych książek, kupionych za ciężko uciułany grosz, przyniosło mu, jak powiada, niepomierną korzyć i radość. Historia literatury polskiej Króla i Jana Niteckiego oraz podręcznik stylistyki (z oberwaną stroną tytułową) — wprowadziły go poniekąd w krąg poetyckich tajemnic.

Ale upragniony wiersz nie przychodził.

— Wydawało mi się — mówi — że główną przeszkodą był tu brak kontaktu z żywym słowem literackim, którego na proletariacko-chłopskich Chojnach nigdzie nie można było usłyszeć. Zacząłem więc codzienne wędrówki do Śródmieścia. Włóczyłem się ulicą Piotrkowską podsłuchując rozmowy strojnie odzianych ludzi, kojarzących mi się z inteligencją. Szybko się rozczarowałem, gdyż słowa, które wypowiadali, były błahe i puste. Postanowiłem kształcić się samodzielnie. Lekturę dobierałem instynktem; często ponosiłem klęski nie będąc w stanie zrozumieć niektórych książek, takiej na przykład „Logiki" Tarnowskiego. Dużo natomiast dała mi prenumerata tygodnika „Zaranie", który pisał o problemach filozofii i literatury w sposób przystępny.

Miał piętnaście lat, kiedy za rubla i dwadzieścia kopiejek nabył w księgarni Fiszera „Quo Vadis". Powieść Sienkiewicza wywarła na nim ogromne wrażenie i spotęgowała pragnienie twórczości. Krwią utoczoną z ręki wypisał na kartach książki osobliwą przysięgę, która — pomieszczona we wstępie Stanisława Czernika — tak mnie zaszokowała: za jeden wiersz godzę się być przez całe życie nieznanym robotnikiem.

Rys. W. Kondek

Ale wiersz nie przychodził.

— Bo nie myślałem o banalnej, dziecięcej rymowance, tylko o czymś głębokim, dojrzałym artystycznie, co wyszłoby z serca i trafiło w serce.

Miał chwile załamań. Prześladowały go czarne myśli, wizje końca świata i samobójczej śmierci, obce zazwyczaj chłopcom w jego wieku. Zwyciężyła nadzieja.

Poszedł w termin do stolarza. Zarabiał rubla tygodniowo. Wolą matki — miał się za to stołować.

— Były w Łodzi restauracje, gdzie za dwadzieścia kopiejek podawali skrócone obiady, pół porcji, ale ja umiałem pokonać głód, przechodzić porę obiadową po ulicach. Dzięki temu kupowałem sobie co tydzień nową książkę, a raz, to nawet poszedłem do teatru. Kilka tych książek, podręcznik stylistyki i szkic Korzona o Kościuszce, udało mi się zabrać do Nadrenii, gdzie byłem wysłany u progu pierwszej wojny na przymusowe roboty.

Pracował w koksowni „na piecach". Nawiązał kontakt z ośrodkiem polonijnym w Duesseldorfie. Któregoś dnia opuścił samowolnie pracę, żeby wziąć udział w próbie kółka teatralnego. Komisarz Duesseldorfu skazał go za to na dwa tygodnie głodowego aresztu. I z powrotem został wcielony do załogi koksowni. Zbuntował się. Odmówił pracy. Dyrektor koksowni oddał go w ręce policji. Kilka miesięcy przesiedział w więzieniu. Potem odbył się sąd.

— Nie dali mi nawet tłumacza. Niemiecki znałem wówczas słabo, więc nie bardzo mogłem zrozumieć, o co oskarża mnie prokurator. Tak czy owak trafiłem do obozu jeńców przy granicy szwajcarskiej i przeżyłem tam sześć znojnych, upokarzających miesięcy. Polaków i Rosjan traktowano najgorzej Dawano nam w obiad gotowane ropuchy. Z początku nie jadłem... Nieraz zbierałem po śmietnikach to, czego nie chcieli jeść zaopatrywani przez Czerwony Krzyż Anglicy. Potem znowu koksownia. Ale nie pracowałem już na piecach tylko przy załadunku paliw. To była robota nad siły. Człowiek biegał jak pies od czwartej rano do późnego popołudnia i nie miał czasu napić się wody. Koszula po wyschnięciu była całkiem biała od potu, a ręce sztywne od odcisków Może ktoś się śmiać, lecz przeżyłem ten koszmar tylko dzięki poezji, o której myślałem w najcięższych chwilach.

Korespondował z krajem. Otrzymywał z Poznania aktualnie wydawane książki i dwie gazety: „Dziennik Poznański" i „Postęp". Twarda walka z samym sobą, wiedza, jaką czerpał z przeczytanych, starannie przetrawionych lektur, cierpienie, głód, upokorzenie, samotność — złożyły się wreszcie na pierwszy sukces...

W połowie czerwca 1918 roku niedzielny dodatek „Postępu" wydrukował wiersz Bronisława Wieczorkowskiego: „Tęsknota".

— Otworzyłem nadesłaną gazetę i zobaczyłem swoje nazwisko. Swoje słowa. Trzęsły mi się ręce, nie mogłem z wrażenia złapać oddechu. Miałem tylko jedną koszulę na grzbiecie, głód skręcał mi trzewia, ale byłem najszczęśliwszym człowiekiem świata. Biegałem jak szalony po ulicach, pragnąłem radość swoją wykrzyczeć w twarz obcym i wrogim ludziom. Wiersz ten nosiłem na piersiach w robocie i w domu, wciąż go czytałem wierząc, że jest to odzew losu na moją przysięgę.

Po kapitulacji Niemiec wstąpił ochotniczo w szeregi armii polskiej w Paryżu. Był w Bretanii. Walczył. Leżał w łańcuckim szpitalu chory na tyfus. Zdemobilizowany powrócił do rodzinnej Łodzi. Ożenił się i nim jeszcze przyszły na świat dzieci, zaczął budować domek, ten sam, w którym teraz jesteśmy.

Ten dom był drugą pasją jego życia. Ten dom budował przez piętnaście lat.

Dalszy ciąg na str. 8

Listy DO REDAKCJI

SPOJRZENIE Z DRUGIEJ STRONY KSIĘGARSKIEJ LADY

Do wystąpienia skłonił mnie felieton J. Widoka w nr 6 „Odgłosów", w którym autor zajął się rzadko poruszanymi na łamach prasy problemami księgarstwa. Szkoda jednak, że J. Widok ograniczył się tylko do ram felietonu, gdyż artykuł problemowy na pewno bardziej by się przydał. Nie tak dawno bowiem księgarstwo obchodziło 600-lecie swego istnienia i o ile pamiętam na łamach prasy łódzkiej nie zostało to specjalnie uhonorowane. Chwała więc J. Widokowi za przerwanie milczenia, ale nie ma róży bez kolców. Autor felietonu spojrzał na problem od strony klienta i stąd chyba pewne nieścisłości. Warto więc pokazać jak te same problemy wyglądają z drugiej strony księgarskiej lady.

Sprawa kadr. J. Widok podaje, że aktualnie w księgarstwie łódzkim pracuje 33 absolwentów naszego Technikum Księgarskiego (ściślej należałoby powiedzieć Wydziału Księgarskiego Liceum Ekonomicznego), co daje mu podstawę do wysunięcia wniosku o słabym poziomie wykształcenia kadr księgarskich.

Nie jest on w istocie najwyższy, ale autor zapomniał o absolwentach innych szkół, również księgarskich. W obecnej chwili pracuje w księgarniach Łodzi i województwa 115 absolwentów tych szkół, co pozwala obsadzać stanowiska frontowe pracownikami, posiadającymi właściwe kwalifikacje.

Zaś sprawa ucieczki od zawodu jest bolączką nie tylko księgarstwa i wymagałaby odrębnego omówienia, tym bardziej, że wykształcenie pełnokwalifikowanego pracownika księgarskiego jest sprawą bardzo trudną i wymaga wielu lat nauki. W tej sytuacji niewątpliwie zdarzyć się gdzieś może i taka „fachowa obsługa" jak przedstawiona w felietonie.

J. Widok z właściwą sobie dyskrecją nie podaje adresu księgarni, gdzie miało miejsce opisane zdarzenie. Zabawiłem się jednak w detektywa i na podstawie wskazówek zawartych w felietonie, po żmudnych dociekaniach doszedłem do wniosku, że może chodzić jedynie o księgarnię „Współczesną". Ale dalsze badania wykazały, że i tę księgarnię należy wyeliminować, tym bardziej, że posiada wszystkie wymienione przez autora pozycje. Czyżby więc trop urywał się bez śladu? A może owa księgarnia nie podlega „Domowi Książki"? Wskazywałaby na to uwaga felietonisty, że mówi o księgarni akurat nie bardzo typowej. Szkoda więc, że J. Widok nie zajął się, skoro już wziął na warsztat księgarstwo, księgarnią typową, choćby jedną z tych, które wymienił — Łódzką, nastawioną jak sama nazwa wskazuje na szczególną ekspozycję pisarzy łódzkich, czy „Światowidem", pierwszą łódzką całkowicie samoobsługową księgarnią mającą jeden cały stół przeznaczony na dzieła naszych autorów. Byłoby to na pewno bardzo potrzebne, gdyż J. Widok nakłada na księgarstwo odpowiedzialny obowiązek dostarczenia czytelnikom książek.

Oczywiście satysfakcjonuje to wielce księgarzy, ale trzymając się sztafetowej przenośni autora — pałeczka musi być dobra, aby sama nie wypadała z rąk, a poza tym jeszcze jednym uczestnikiem sztafety winna być prasa, odpowiednio popularyzująca książki.

ADAM NONAS

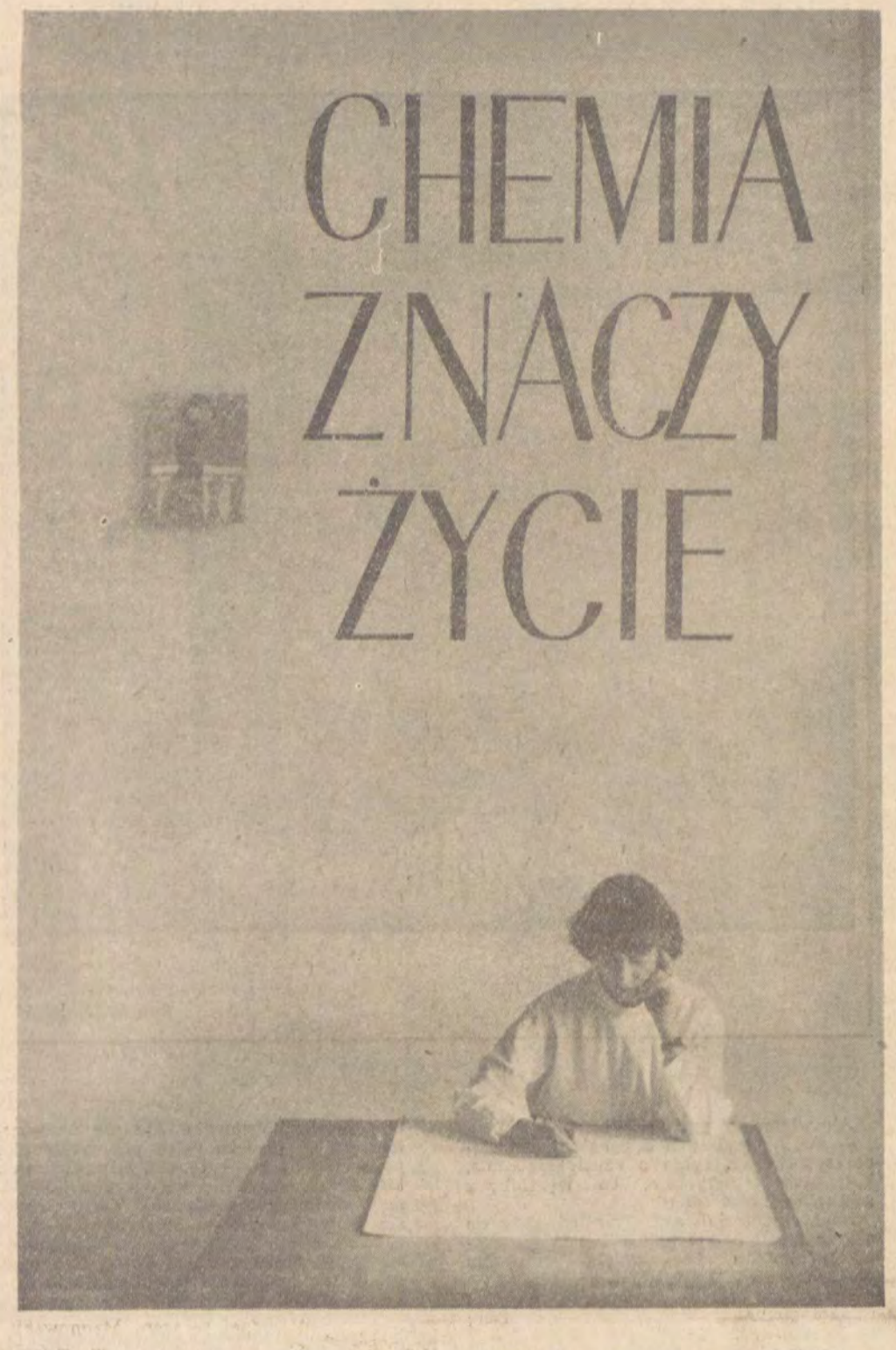

CHEMIA ZNACZY ŻYCIE

TERESA WOJCIECHOWSKA

Można by zacząć od tego, że przeszło 150 lat temu nasz wielki przyrodnik Jędrzej Śniadecki powiedział: „Indywidua inaczej własnego życia zachować nie mogą jak tylko przez ciągłą odmianę materii, z której się składają" — dając tym wyraz koncepcji dynamicznego stanu żywej materii — po raz pierwszy w polskiej myśli naukowej.

Można by też zacząć od tego, że 104 lata temu w Szkole Głównej w Warszawie została utworzona katedra chemii lekarskiej, a w następnym roku taką katedrę powołał do życia najstarszy w kraju wydział lekarski w Krakowie, jako jeden z pierwszych w świecie, na osiem lat przed Uniwersytetem w Wiedniu, na wiele lat przed wieloma uczelniami europejskimi.

Można by zacząć od wielu innych dat, stanowiących milowe kroki w rozwoju polskiej biochemii, wymienić wiele znakomitych nazwisk polskich uczonych jak Herman Fudakowski, Marceli Nencki, Leon Marchlewski, Jakub Parnas czy Bolesław Skarżyński, którzy wnieśli poważny wkład w dzieło światowego rozwoju biochemii. Wszystkie te fakty świadczyć będą o jednym — o poważnym dorobku nauki polskiej, bogatych tradycjach tej nauki w naszym kraju, nauki zajmującej się niezbędnymi do życia przemianami chemicznymi żywej materii.

Te tradycje kontynuuje Katedra Biochemii Uniwersytetu Łódzkiego, największa i pierwsza powstała tego typu katedra w Polsce, założona i prowadzona do 1967 roku przez wysokiej klasy uczonego prof. dr Antoniego Dmochowskiego. Nawet po przejściu na emeryturę prof. dr A. Dmochowski współpracuje z założoną przez siebie placówką.

Początki Katedry były trudne. Zespół pracowników naukowych składał się z jednego adiunkta i jednego asystenta, lokal zajmował trzy niewielkie pokoiki, w których odbywały się zajęcia ze studentami i prace naukowe. Katedra rozwijała się stopniowo i systematycznie poszerzając stale zespół naukowy, zakres działania i powierzchnię lokalową. Nie wdając się w poszczególne etapy tego rozwoju można już powiedzieć, że dziś Katedra zajmuje przestrzeń 1.400 m kw. w nowym i nowoczesnym Gmachu Biologii UŁ przy ul. Nowopołudniowej.

Niemały jest dorobek naukowy placówki w okresie minionych lat. Do ubiegłego roku powstało w Katedrze 240 prac magisterskich, przeprowadzono 31 przewodów doktorskich i 8 habilitacyjnych. Ogłoszono drukiem 169 prac naukowych, zredagowano trzy podręczniki chemii fizjologicznej. Katedra utrzymuje kontakty nie tylko z placówkami naukowymi tego typu w kraju, lecz również z pracowniami biochemicznymi w ZSRR, Czechosłowacji, NRD, Włoszech, Francji, Belgii i Szwecji. Doniesienia naukowe pracowników Katedry publikowane były na kongresach i zjazdach biochemii w Moskwie, Pradze, Berlinie, Sofii, Jenie, Waszyngtonie, Wiedniu i inn.

* * *

Przemierzywszy długie, czyste korytarze tak charakterystyczne dla gmachów mieszczących laboratoria, znalazłam się w niewielkim gabinecie kierownika Katedry, prof. dr Wandy Leyko, której towarzyszyła dr Danuta Tyranska-Spychałowa, adiunkt Katedry. Domagam się od obu pań (a propos — panie stanowią 50 procent personelu naukowego) przystępnego wyjaśnienia pracy Katedry tak, abyśmy: moi czytelnicy i ja, którzy się na tym nie znamy, zrozumieli o co chodzi. To wcale nie jest łatwe i z konieczności wymaga pewnych uproszczeń. Mam nadzieję, że mi to zostanie wybaczone.

Przedmiotem badań łódzkiej Katedry są nukleoproteidy — związki wielkocząsteczkowe, wchodzące w skład aparatu komórkowego, przenoszącego cechy dziedziczne w procesie rozwoju, przemiany energetyczne komórek oraz biochemia krwi. Badania dotyczą w głównej mierze 2 związków, które odpowiedzialne są za procesy reprodukcji i gromadzenia energii i które nauka podsumowuje w postaci skrótów: KDN — kwas dezoksyrybonukleinowy — symbol aparatu genetycznego i ATP — kwas adenozynotrójfosforowy, dostarczający energii dla wszystkich bez wyjątku procesów życiowych.

A więc chemia badająca genetykę, usiłująca rozszyfrować prawa dziedziczności. Czy oznacza to, że na jakimś dalekim etapie nauka będzie mogła wpływać na wygląd człowieka, na jego charakter?

Profesor Leyko krzywi się na tak zwulgaryzowane podejście do zagadnienia. Ale dr Spychałowa nie zostawia mnie bez odpowiedzi.

— Jeśli zbadamy strukturę kwasu nukleinowego i poznamy skład i kolejność występowania podstawowych cegiełek kwasów, to istnieje teoretyczna możliwość oddziaływania na strukturę człowieka.

Zrozumiałam głównie tyle, że sprawa jest jeszcze bardzo odległa, a możliwości na razie raczej teoretyczne.

Od ubiegłego roku akademickiego działają przy Katedrze trzy zakłady: Biochemii Ogólnej kierowany przez doc. dr Leokadię Kłyszejko, Biochemii Analitycznej kierowany przez doc. dr Emila Łozę (który obecnie organizuje katedrę biochemii w Katandze i w zastępstwie którego zakład prowadzi doc. dr T. Krajewski) oraz Zakład Biofizyki kierowany przez prof. dr Wandę Leyko. Zakład Biofizyki powstał w Łodzi jako pierwszy z zakładów tego rodzaju na wydziałach biologicznych uniwersytetów w Polsce. Badania Zakładu wchodzą w zakres radiobiologii, głównym przedmiotem zainteresowań jest wpływ promieniowania jonizującego na przemiany energetyczne komórek, a przede wszystkim na ATP — centralny akumulator energii.

* * *

I tu można by zacząć znowu od znakomitej Polki Marii Skłodowskiej-Curie, współtwórczyni nauki o promieniotwórczości, od odkrycia zjawiska radioaktywności, czy promieni rentgena, które otworzyły nowe drogi przed biochemią. Ale od tamtych czasów działalność ludzka tak zwiększyła napromienienie ziemi, że dla własnego spokoju lepiej nie sięgać tu po cyfry, procenty. Era energii jądrowej stworzyła jedną z nowych gałęzi biofizyki — radiologię, naukę o działaniu promieniowania na organizmy i ich składniki np. kwasy nukleinowe, które są na to działanie szczególnie wrażliwe. Postępujące z pokolenia na pokolenie, nie kontrolowane działanie promieniowania jonizującego na geny może wywołać degenerację organizmów.

Tak więc celem badań Zakładu Biofizyki jest wykrywanie skutków tego promieniowania, ustalanie minimalnej dawki promieniowania szkodliwej dla zdrowia. Badania przeprowadza się na różnego rodzaju komórkach krwi, narządach układu limfatycznego i gruczołach wydzielania wewnętrznego. Ostatecznym obiektem badań jest człowiek stykający się zawodowo z energią jądrową, przede wszystkim obsługa techniczna w przemyśle oraz służba zdrowia.

Katedra Biochemii nie dysponuje źródłami napromienienia, prowadzenie badań jest więc możliwe dzięki współpracy z innymi ośrodkami naukowymi tj. Katedrą Radiologii AM, Katedrą Fizyki UŁ i Instytutem Chemii Radiacyjnej PŁ. Dzięki współpracy naukowej i z innymi placówkami, w wyniku razem prowadzonych badań powstają wspólnie opracowane prace naukowe. I tak dzięki współpracy z Wojskową Akademią Medyczną — Katedrą Chemii Fizjologicznej — ogłoszono drukiem 5 prac, Katedrą Fizjologii — 8 prac, dzięki współpracy ze Stacją Krwiodawstwa — 2 prace. Poza tym Katedra pozostaje w kontakcie naukowym z Wojewódzką Stacją Chorób Krwi, Instytutem Medycyny Pracy i in. Opracowuje niektóre zagadnienia wynikające z potrzeb poszczególnych placówek, na przykład razem z Kliniką Neurologii AM przeprowadzono badania w Tomaszowskich Zakładach Włókien Sztucznych nad wpływem dwusiarczku węgla na przemianę materii erytrocytów.

* * *

Opuszczając ten gmach myślę o modnych dziś sloganach: chemia żywi, odziewa... Nie mówi się nigdy, że chroni nasze zdrowie i życie. A to przecież najistotniejsze.

FELIKS BĄBOL

Bitwa o Polanicę

Dopiero w Polanicy widać, jak to jest z tym szlachetnym zdrowiem, kto je szanuje a kto nie. W domu, w którym mieszkałem przez dwa tygodnie, czułem się nieswojo: w jednej z sal jadalni wśród wczasowiczów przybyłych na wczasy lecznicze FWP na trzydzieści kobiet naliczyłem tylko trzech mężczyzn.

Jakie to kobiety? Mówił mi pewien lekarz:

— Najwięcej przyjeżdża wdów. Na 25 wdów mniej więcej jeden wdowiec. Mówię o przyjeżdżających w wieku 55—65 lat. Bo to prawda, że kobiety żyją dłużej.

— A mężczyźni?

— Mamy w sanatoriach i na wczasach leczniczych również mężczyzn, ale to przeważnie ludzie w wieku produkcyjnym, co to przybywają, aby podreperować zdrowie dla odzyskania pełnej sprawności w pracy zawodowej I tu właśnie zasadnicza różnica celów przyjazdu: mężczyźni leczą się sanatoryjnie, by pracować, kobiety zaś — by tu... posiedzieć parę tygodni (oczywiście nie należy generalizować, bo i wśród kobiet były w tym okresie przypadki uzasadnionych zupełnie kuracji). Kobiety są bardzo wrażliwe na wszelkie dolegliwości okresu klimakterycznego (cierpienia układu krążenia, ruchowe, nerwicowe itp.), niektóre z nich właściwie nie cierpią nawet, bardzo często przenoszą zasłyszane sytuacje chorobowe przyjaciółek i sąsiadek na siebie i... domyślają się istnienia tych samych schorzeń we własnym organizmie.

Ale są i skierowania-dobrodziejstwa. Emerytka z Białegostoku — widać z daleka, że sterana całym swym życiem i pracą — nie może się nachwalić tego, że i dla niej są skierowania na lecznicze wczasy.

— To dla mnie wiele — mówi — raz na rok przyjechać do Polanicy.

Można obliczyć, że takie skierowanie bezpłatne oznacza dla niej właściwie całoroczny 150-złotowy dodatek do miesięcznej renty. Bo wyżywienie, zabiegi, nowoczesne zakwaterowanie, itp. musi w Polanicy kosztować, skromnie licząc, około 2 tys. zł za 21 dni.

*

Ale spróbujmy nieco uporządkować spostrzeżenia. Mężczyźni przybywają przeważnie młodzi. Rozpiętość wieku duża — od 20 do 50 lat. Na ogół ze schorzeniami przewodu pokarmowego. Przyjeżdżają więc w wieku pełnej zdolności produkcyjnej. Drugą grupę mężczyzn — nieliczną zresztą w stosunku do kobiet — stanowią ludzie po 50-tce, z chorobami układu krążenia, objawami miażdżycy, w zdecydowanej większości emeryci.

W ostatnim okresie — jak udowadniają tutejsze statystyki — struktura kuracjuszy wyraznie się zmieniła na korzyść. Ponad 50 proc. chorych przyjeżdża tu na pobyty rehabilitacyjne — po szpitalu albo na zlecenie poradni specjalistycznej. Są to głównie ludzie pragnący odzyskać odpowiednią sprawność fizyczną w produkcji. Takich miejsc rehabilitacyjnych jest tutaj 400 miesięcznie, można więc założyć, że dzięki wysiłkom Polanicy i jej lekarzy rocznie około 5 tys. ludzi może na nowo i wydajnie pracować przy swych warsztatach produkcyjnych, bez potrzeby przenoszenia się na stanowiska robocze mniej płatne, mniej istotne dla przedsiębiorstwa.

Drugie tyle ludzi korzysta z dobrodziejstw uzdrowiska przy pomocy związkowych skierowań sanatoryjnych 24-dniowych, bądź skierowań poprzez wydziały zdrowia (dla rencistów). Osobną wreszcie grupę stanowią wczasowicze 21-dniowi — za niewielką odpłatnością, zależnie od zarobków. Ich lecznicze pobyty w zasadzie nie odbiegają charakterem od pobytów sanatoryjnych — za własne pieniądze kupują tylko leki, a resztę mają darmo.

Trzeba przy okazji stwierdzić, że prawdziwą plagą dla uzdrowiskowej służby zdrowia są nadal mylne skierowania. Przysyła się tu np. pacjenta po dwóch wylewach krwi do mózgu. Ma on już 78 lat, a więc są to zdecydowane objawy miażdżycowe. Chory przybywa z adnotacją: — „...celem utrwalenia leczenia". Jakiego leczenia? Przecież — zdarza się — że taki pacjent nie wytrzymuje nawet trudów 500-kilometrowej podróży z miejsca zamieszkania do Polanicy i umiera albo w drodze albo wkrótce po przybyciu — na miejscu...

Albo kieruje się ludzi z chorobami nowotworowymi. Też zachodzi pytanie — w jakim celu? Często odnosi się wrażenie, że wydział zdrowia kierujący takiego nieszczęśliwca do Polanicy, chce jedynie... poprawić statystykę umieralności podległego sobie terenu, zdaje sobie bowiem sprawę, że skierowany ma właściwie dni policzone.

— Przyjmujemy wszystkich, choć niektórzy uzyskują tu w swej sytuacji chorobowej jedynie znikomą poprawę samopoczucia — słyszałem opinię pewnego specjalisty z Polanicy — no bo względy humanitarne, czysto ludzkie, nie pozwalają nam odsyłać do domu tych wszystkich, którzy albo mylnie, albo wręcz niepotrzebnie są do nas

Dolce vita POD SZczytami

Dalszy ciąg ze str. 1

już po swojemu nie potrafią gadać — użalał się przede mną. Trudno mi było dzielić frasunek ojca. Tym bardziej, że na Kasprowym piwo niezłe, pogoda na blachę, mnóstwo znajomych, atmosfera serdeczna. Kogóż na tym szczycie o tej porze nie ma Wokół sławy artystyczne, sportowe, wojskowe. Rześki generał Kuropieska płynnie szusuje nartostradą, Gustaw Holoubek pochylony pod ciężarem popularności przeciska się wśród tłumu, reżyser Kawalerowicz, reżyser Lorentowicz, reżyser Chmielewski...

Świat filmowy na szczycie Tatr wyznaczył sobie spotkanie. Tu się kręci, balansuje, zjeżdża, spada, tworzy i opala. Wysoko zaszedł film polski. Dziś aż dwie ekipy kręcą na Kasprowym. Długo czekali na słońce. Ludzie prostego serca i małego ducha mają im za złe to wieczne czekanie.

Dziwny to świat. Filmowcy nie lubią dziennikarzy, ale prasę lubią. Na widok dziennikarza ogarniają ich uczucia ambiwalentne. Reżyser Lorentowicz ma za złe temu spośród nas, który rzucił na łup krajowej opinii publicznej wiadomość o pechowym skoku kaskadera Fusa. Znam tę piosenkę, melodia stara, słowa banalne. Jak zwykle wszystkiemu winna prasa. Gdyby dziennikarza przy tym nie było, nie byłoby sprawy, problemu i sensacji. Nikt by się nie dowiedział że „Film Polski" żeruje na naiwności, prostoduszności i desperackiej odwadze dublerów od niebezpiecznej roboty. Z samym Fusem załatwiono się gładko, zerwano po prostu umowę. Zyskał sławę, stracił pracę.

W Zakopanem jednak nie tylko filmowcy czekają na swe słoneczne dni. Czekają górale i wczasowicze, narciarze i instruktorzy szkółek narciarskich, czekają kelnerzy nocnych lokali, fryzjerki damskie i ci co „prowadzą szaszłyk" i ci co „prowadzą pieczeń zbójecką", czekają prostytutki, które tu zjechały z całego kraju po swe złote runo. Te właśnie najmniej czekają. W barze-piwnicy „Orbisu" same zaczepiają, wyzywające, piękne, młode, oferują złudzenie szczęścia choć same złudzeń wyzbyte. I nie tylko złudzeń. Wszyscy i wszystko tu gra. Gra pozorów, gra orkiestra, sznyt, elegancja i ekstrawagancja, stonowane światło, bulgocący saks. W jego skowycie wirują pary ruchem zwrotno-posuwistym w układzie: starsza wytworna dama — młody chłopiec, starszy pan — młodziutka dziewczynka, drapieżna Seweryna. Pulsuje światowe życie, fruwają pięćsetki, kołłuje bar, brzęczy szkło. Trwa życie zastępcze. Tani blichtr za wysoką cenę.

Niedobrze się robi od samego widoku, a tu jeszcze uśmiechać się trzeba, odpowiadać na ciepłe, powłóczyste i pełne nadziei spojrzenia pani Joli zza bufetu, wysłuchiwać narzekań pana co „prowadzi szaszłyk" na Krupówkach. — Bez dziesięciu badoli życia nie ma. Nie wyobrażam sobie, ażeby nie było mnie stać codziennie na kolację za te głupie 500 złotych Coraz trudniej o uczciwy zarobek, konkurencja duża, obiady domowe, lud szaszłyków nie chce jeść. Chyba, że jakaś wycieczka z Garwolina się trafi i przewodnik podrzuci chamusiów pod ruszta. Nie ma życia, jest źle, będzie jeszcze gorzej. Trzeba się obejrzeć za czymś innym, wyjechać stąd albo co.

Panisko od szaszłyków zapija swe troski i szuka współczucia, Sewerynki chwytają się za czuby, pani Jola dyskretnie znika. Nie, nie dlatego, że nie lubi takiego widoku. Jej dewiza: nic nie widzieć, nic nie słyszeć, nic nie wiedzieć. Goście pokotłują się, uspokoją, pogodzą, ustoją jak szampan w kielichu. Wokół słychać utyskiwania, narzekania na marny los. Narzeka szewc, narzeka sklepikarz, narzeka krawiec. Dno, nędza, wegetacja. Co z tą forsą robić? Zarobić jeszcze można, ale wydać nie ma już gdzie. Willę już mam — płacze krawiec, kupiłem białego mercedesa — płacze szewc. I co dalej? Ech, żeby tak na Zachód, tam są możliwości. Tam jest życie.

— No stary, sam widzisz, jesteś inteligentny to zrozumiesz. Dziwki tanie, wódka za bezcen — płacze w rękaw pijany ajent stacji benzynowej.

— Tobie to dobrze, ty jesteś redaktor — woła właściciel trzech zakładów fotograficznych w Katowicach. Już się w sobie jeżę, robię kolczasty, kpić z siebie nie pozwolę. Ale co to?... Oni naprawdę, na serio. Jeszcze bardziej robię się kolczasty. Szlag trafi takie towarzystwo.

— Skąd my się znamy — zaczepia dziewczę.

— Z telewizji, moja księżno nocy — odpowiadam.

— Panie, zabawmy się — proponuje

— Szkoda twego czasu, mała — odpowiadam głośno — i moich pieniędzy — dodaję po cichu.

Zakopiańska noc przechyliła się w stronę świtu. Pijani Szwedzi, którzy ze Świnoujścia dotarli aż pod Giewont snują się z dziewczętami u szyi po ciemnych korytarzach hotelu „Orbis" jak cienie Hamleta po Elsynorze. W barze ostał się jeno wybitny reżyser w czarnym golfie. Spogląda posępnie, realizuje bowiem filmy wysublimowane, psychologiczne. Siedzi znany i dumny na barowym stołku, „posąg człowieka na posągu świata". Cztery gwiazdki ciągną go w cztery różne strony świata. A on mur, marmur, beton, spiż i tylko wiedzie monolog nieugięty: mnie teraz interesuje patrzenie z góry na dół. Coś w tym jest. Tylko co?

No właśnie. Rankiem kolejką na Kasprowy. Jedzie elita filmowa, jedzie podziemie gospodarcze, nawet zwykli narciarze jadą. Wszyscy w słońce, w błękit nieba, w biel śniegu, w szczyty gór i zwyczajnie na piwo.

Ci od „Znicza olimpijskiego" podążają karawaną na Kościeliską, robią film o kurierach ruchu oporu przekradających się przez granice państw i gór. Dzielni to byli ludzie i odważni. Prowadzili mocne życie i w dodatku z sensem. Przeżywali przy tym mnóstwo przygód. Prawdziwych. Film będzie kasowy. Tym bardziej, że kaskader zrobił mu reklamę. Dziś będą ujęcia bez kaskadera. Górale dźwigają ciężki sprzęt, ekipę wiedzie przewodnik tatrzański, potomek węgierskiego przemytnika. Jego ojciec przekradał się niegdyś przez te góry. Napotkał pewnego razu na hali Gąsienicowej dziewczę co bydło pasało. Miał z nią romans. Efekt romansu prowadzi już ekipę ku szczytom gór.

Druga ekipa filmowa, ta od „Jak rozpętałem drugą wojnę światową" schodzi w dolinę. Tam stoi już budka strażnicza o jugosłowiańskich barwach narodowych. Przed budką strażnik w kożuchu do kolan, z karabinem na ramieniu. Wtem z góry lawina kamieni, szusują narty, za nimi kijki, same, bez narciarza, dopiero na samym końcu koziołkuje żołnierz w polskim mundurze. Wystraszony strażnik chowa się do budki, żołnierz wali głową do przodu, przewraca budkę razem ze strażnikiem. Koniec ujęcia.

Pracownicy ekipy podnoszą budkę, strażnik gramoli się, wstaje, żołnierz, narty, papierowe kamienie udają się na górę i apiać to samo. Aż do znudzenia W życiu nie widziałem bardziej beznadziejnego zajęcia niż kręcenie scen filmowych. A przecież potem w kinie te pozornie jałowe sceny ogląda się z taką przyjemnością, czasem z dreszczem.

Tymczasem drugi żołnierz, identycznie umundurowany, podobnej aparycji leży na kożuchu, słońce pieści mu twarz z taką perfekcją, iż żadna kobieta mu nie dorówna. Jego sobowtór ciągle wali głową w deski strażniczej budki. Kiedy się już na dobre zmęczy, a wszyscy wokół doszczętnie znudzą ON wchodzi dopiero do akcji. Aktor. Pierwszy to właśnie kaskader Czesio Magnowski, drugi to znany aktor Jan Kociniak.

Trzeba być kompletną ciotką dziennikarską, żeby mieć coś przeciwko podobnym praktykom. Kociniak prawie od roku bierze udział w realizacji tego filmu jako główny bohater. Zużyto już parę tysięcy metrów taśmy, wpakowano w imprezę grube miliony i teraz nie daj Bóg, żeby najważniejszemu bohaterowi coś złego się przytrafiło. Wszystko trzeba by było spisać na straty. Taka jest specyfika pracy w filmie.

Kaskaderzy to ludzie, którzy lubią szaleństwo. Szaleństwo tkwi w ich naturze, jest częścią postawy życiowej. Fus, Magnowski i pozostali z tej grupy siedmiu wrocławskich kaskaderów robią codziennie sztuki, od których włos się jeży na głowie. Czynią to całkiem gratis, bezinteresownie, dla sprawdzenia samych siebie, dla potwierdzenia czegoś tam w sobie. Magnowski przechodził niegdyś obok budynku, w którym mieścił się magazyn. W ścianie tkwiło jedno małe okienko, skoczył bez namysłu, wybił szybę, wpadł do środka. Z powrotem nie mógł się wydostać. Zaalarmowano milicję, przyjechała, zabrano chłopaka, miałby niemal sprawę o włamanie.

Praca kaskadera jest dla niego okazją do wyładowania nadmiaru energii. Chłopak jest skoczny, zręczny, wysportowany, a przy tym żądny przygód i sławy. Film jest magnesem nie tylko dla dziewcząt, które piszą „mam dziewięć klas szkoły, wszystkie zęby zdrowe i 105 cm w biuście, chcę zostać artystką".

Filmowcom nie wolno jednak dyskontować tej prostodusznej naiwności.

W jednej ze scen Magnowski miał ze skoku uderzać głową w stos skrzynek Uderzanie głową to jego specjalność. Skrzynki miały być z tektury Ktoś jednak przeoczył, zlekceważył, chłopak skoczył, rąbnął głową, skrzynki okazały się prawdziwe. Nonszalancja równa zbrodni.

Słońce chowa się za chmurami. Filmowcy zwijają swą podręczną fabryczkę snów, wszystko co żyje zjeżdża z gór w dolinę, w miasto.

Zakopane — zimowa stolica kraju zaczyna swój nocny seans. Dziś wieczór udaję się do Jana Izydora Sztaudyngiera. Najpopularniejszy nasz fraszkopisarz mieszka w małym domku Pod Krokwią. Domek jest skromny, a na tle nowobogackich willi nawet ubogi. Gospodarz z właściwym mu poczuciem humoru wyjaśnia mi różnicę jaka istnieje między nim a zakopiańskimi krezusami.

— Pisarz żyje z wyzysku samego siebie, oni żyją z wyzysku innych.

KAROL BADZIAK

---

kierowani. Niech pan jednak weźmie pod uwagę problem z innej strony Ze strony przeciętnego kuracjusza. Dla niego uzdrowisko jest miejscem, w którym się nie umiera. Ta wiara jest magnesem przyciągającym do uzdrowiska większość kuracjuszy i wczasowiczów. Nie dziwmy się więc, że każda śmierć w sanatorium jest wielką sensacją, szeroko komentowaną, ciężko przeżywaną przez ludzi z danego turnusu. Co zrobić jednak, jeśli — jak się to nieraz zdarza — jednorazowo przebywa tu 50 chorych po zawałach serca, wylewach krwi do mózgu, chorych z objawami grożącymi zejściem w każdej chwili? Statystycznie biorąc — i to dopiero jest największym paradoksem 7-tysięcznej Polanicy — śmiertelność jest tutaj dużo większa niż w wielkich 100-tysięcznych miastach powiatowych...

*

Wiara w uzdrowisko. Co drugi chory zjawiający się tutaj jest przepojony wiarą. Uzdrowisko jest dlań potężnym panaceum. Zdarza się, że chorzy oprócz kłopotów z przewodem pokarmowym objawiają przed lekarzem sanatoryjnym również i wszystkie pozostałe dolegliwości i niedostatki. Oprócz podleczenia żołądka pragną w ciągu turnusu leczniczego usunąć skutecznie odciski, nadmierne pocenie się, a nawet łysinę. Ale zatrzymajmy się na chwilę przy schorzeniach bardziej istotnych w życiu ludzkim. Chory przybył z wielkim wyobrażeniem co do tego, że uzdrowisko działa na zasadzie cudu: człowiek przyjeżdża i natychmiast cierpienie (będące często wynikiem wieloletnich zaniedbań, niehigienicznego trybu życia czy wrodzonych skłonności chorobowych) — jak ręką odjął. Taki ciężko chory już po tygodniu zwraca się do lekarza, pełniącego właśnie dyżur, z gorzkimi słowami za którymi czai się wyraźna pretensja:

— Panie doktorze, siedzę tu już ósmy dzień i wcale mi nie lepiej.

Wiara w cuda i niezwykłe właściwości wód oraz samego sanatorium sprawia również, że typowe dla Polanicy są na ogół ciężkie przypadki chorobowe. Kadra lekarzy polanickich jest znana z poświęcenia i ofiarności, oddania wielkiej sprawie przywracania społeczeństwu ludzi często w beznadziejnych sytuacjach chorobowych, ale zagęszczenie przypadków skomplikowanych i naprawdę trudnych w terapii robi swoje. Lekarze nie odbierają tu nadziei nikomu, walczą o każdy dzień życia chorego, ale ilość zgonów, którą lekarz ma na swoim koncie w zasadzie nie godzi tu w lekarza, gdyż praktyka tygodniowa lekarza z Polanicy — właśnie z uwagi na ilość przypadków trudnych i ciężkich — równa się praktyce co najmniej kilkumiesięcznej lekarza zwykłej przychodni.

Wielu chorych zdaje sobie sprawę ze swego stanu i przybywając do Polanicy pragnie wykorzystać każdą szansę. Stąd — i lekarz stosujący hipnozę ma tu znaczne powodzenie. Choć wiadomo powszechnie, że hipnoza może poprawić sytuację chorego jedynie w tych przypadkach, gdy wśród źródeł schorzenia zasadniczą rolę odgrywają czynniki psychiczne (nerwice, szoki itp.) a nie — organiczne.

Na „cud" liczą chorzy z ciężkimi objawami niewydolności krążenia, zaawansowanymi chorobami serca, zwyrodnieniami miażdżycowymi itp. Często też dopiero w Polanicy następuje właściwe rozpoznanie stanu chorego. W ostatnim okresie było kilkanaście przypadków tego rodzaju. W rezultacie chorych kierowano dopiero stąd na operacje serca do Łodzi i innych ośrodków w kraju. Nie dlatego, że w Polanicy to serce zostało niebezpiecznie sforsowane, ale dlatego, że chorych skierowano na leczenie sanatoryjne bez trafnego rozpoznania choroby.

Przywieziono tu 37-letnią kobietę ze wsi podopolskiej z tzw. zatorem tętnicy podkolanowej. Stan był ciężki, trzeba było natychmiast amputować nogę z uwagi na postępującą martwicę. Dopiero po dokładnym zbadaniu pacjentki odkryto u niej wyraźną wadę serca. Ta choroba serca była źródłem wspomnianego zatoru tętnicy. Lekarze ocenili, że gdyby pacjentkę wcześniej zbadano, właściwie rozpoznano jej stan i przeprowadzono operację serca — nie byłoby i zatoru i amputacji. Przy okazji: do uzdrowiska przyjeżdżają ludzie z miasta i ze wsi, ale ci z miasta stanowią ponad 70 proc. kuracjuszy, chociaż ludność wiejska u nas to nadal połowa mieszkańców kraju. Jak to się dzieje? Czyżby „miejski człowiek" był bardziej obrotny w zabiegach o skierowanie? Przypuszczać należy, że w czasie kampanii przedwyborczej do rad narodowych, przy okazji omawiania problematyki służby zdrowia — i ta kwestia wyniknie w dyskusji na spotkaniach gromadzkich i powiatowych.

I jeszcze jedno — chodźmy częściej do lekarza. 46-letni kierowca tylko w wyniku usilnych perswazji żony zjawił się w tych dniach w poczekalni jednego z tutejszych lekarzy. Skarżył się na brak oddechu, duszność, osłabienie. Co stwierdzono? Znaczne powiększenie mięśnia sercowego, stan zapalny. Teraz poleży dłuższy czas w sanatorium. To nie był jeszcze tzw. zawał, ale śmierć groziła kierowcy każdego dnia na skutek ostrego zaburzenia rytmu serca. Ten kierowca, jak wyznała jego żona, od dwudziestu lat omijał lekarzy, imponując kolegom i znajomym „żelaznym" zdrowiem i kompletną pogardą dla medycyny.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

Jaka to głupia ryba ten dorsz

Stacje na brzegu otrzymują meldunki od samolotów zwiadowczych i przekazują wiadomości statkom. Ruszyły ławice ryb! Piloci wpatrują się w morze. Wytężają wzrok. Śledzą pilnie miejsce i kierunek posuwania się ławic. Płyną meldunki. Pokrzykiwania załogi, krótkie, energiczne rozkazy kapitana. Statki dosięgają ławicy. Skrzypią windy. „Wydłużcie liny" — woła pilot do nadajnika. Samolot zatacza wolno kręgi nad statkiem. Pilot obserwuje ławicę. Chmary, nieprzeliczone masy ryb wpadają do sieci. Nieustanny trzask w radiowych aparatach odbiorczych. Meldunki, meldunki, meldunki...

Potem ciężkie, z mnóstwem ryb w ładowniach, statki wracają do brzegu gdzie wszystko już jest przygotowane. Czeka już sztab ludzi. Czekają beczki na ryby w solarniach.

Rzucałem się na zagraniczne pisma z opisami najnowszej techniki połowów. Pasjonowały mnie jak relacje bitewne. Chwytałem książki na temat rybołówstwa morskiego, biologii ryb i ich zachowania się. Kiedy naukowcy z naszego Instytutu, na podstawie żmudnych badań środowiska wodnego, zaczęli sporządzać prognozy długo i krótkofalowe połowów ryb, śledziłem codzienne meldunki rybackie z takim zainteresowaniem jakbym grał na loterii.

Irena, z początku przynajmniej, zdawała się rozumieć moje pasje. Ale później nieraz dostrzegałem w jej oczach coś w rodzaju zniecierpliwienia.

— Nie dostaniesz czasem podwyżki? — pytała przerywając mi.

— Nie było o tym mowy.

— Mógłbyś się postarać. Przecież tyle pracujesz.

Zapytałem kiedyś szefa czy mogę liczyć na podwyżkę. Spojrzał na mnie zdumiony.

— Pracuje pan tutaj stosunkowo niedawno. Nie mógł pan jeszcze dokładnie zapoznać się z tak skomplikowaną dziedziną jaką jest rybołówstwo morskie.

— Więc jak z tą podwyżką — dopytuje się Irena.

— Nie wiem — odpowiadam.

Mieszkamy w Oliwie. Po ślubie przeprowadziłem się do pokoju Ireny przy ulicy Polanki. Zapach kasztanów przenika do mieszkania słodkawą falą. W nocy patrzę na gwiazdy. Myślę, że tu w Oliwie są piękniejsze niż gdzie indziej. Błyszczy na niebie Tarcza Sobieskiego, gwiazdozbiór odkryty przez gdańszczanina Jana Heweliusza. Szukam tej konstelacji stojąc przy oknie. Kiedy tak patrzę na nieboskłon słyszę spokojny, równy oddech śpiącej Ireny. Jest mi dobrze. Za oknem panuje cisza. Czasem słychać pośpieszne kroki zapóźnionych przechodniów, pokrzykiwania pijaka lub śmiech dziewczyny prowadzonej przez chłopca. Moje życie jakoś się unormowało. Oboje pracujemy. W wolnych chwilach idziemy do oliwskiego parku. Słońce przebija się przez gęstwinę młodych wiosennych liści. Na ścieżkach bawią się dzieci. Dziewczyny idą zgrabne i smukłe w lekkich powiewnych sukienkach. Jest mi dobrze, całkiem dobrze. Tylko czasem, kiedy w nocy stoję przy oknie i wpatruję się w nieustanne migotanie gwiazd, myślę o Helenie. Wspominam lata wojny. Odwiedzałem Helenę czasem częściej, czasem rzadziej. W lecie tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku bywałem u niej prawie każdej niedzieli. Jak zawsze czekała na mnie przy białym kamieniu i trzech topolach. Potem wsiadaliśmy do łódki i wypływali na rzekę. Trzymałem nieruchomo wiosła. Łódka dryfowała unoszona przez prąd. Helena wpatrywała się we mnie długo, uważnie, jakby chciała wyczytać z mojej twarzy to o czym nie wiedziała, ale czego domyślić się mogła.

— Boję się — mówiła niekiedy. — Boję się o ciebie. Teraz nie ma dnia żeby Niemcy kogoś nie aresztowali.

Czasem widziałem, że się domyśla, że nie chce mnie pytać, ale wie, choć otwarcie nigdy jej nie mówiłem, o mojej pracy konspiracyjnej.

— Boję się bardzo się o ciebie boję — powtarzała Helena, jak w owym czasie powtarzało tysiące dziewcząt do swych chłopców, jak mówiło tysiące chłopców do swych dziewcząt.

Płynęliśmy wolno. Czasem jednym, energicznym pchnięciem wiosła pakowałem łódkę w szuwary.

— Co będziemy robili? — pytała Helena uśmiechając się. A ja otwierałem boyowskie tłumaczenie „Tristana i Izoldy"

„Izoldo, co wiesz dzisiaj? Co ciebie dręczy?

— Ach wszystko to, co wiem, dręczy mnie i wszystko co widzę. To niebo mnie dręczy i to morze, i ciało moje, i życie moje!"

— Podoba ci się? — pytałem Helenę.

— Bardzo

— Pamiętam, że poznałem cię kiedy reperowałaś sieci, a w trawie obok leżała otwarta książka „Tristan et Iseut". Skąd znasz francuski?

— Tak dobrze to nie znam. Trochę. Z liceum.

Opowiedziała mi, że przed wojną chodziła do pierwszej klasy liceum. Tu do miasteczka przyjeżdżała tylko na święta i wakacje.

— Dziwi cię to, że córka zwykłego rybaka chodziła do liceum? Ech, mój drogi, nie znasz rybaków. Rybołówstwo to zawód.. no, nie wiem jak to określić. Nie wiem czy mnie rozumiesz?

Rozumiałem. Zauważyłem już przedtem, podczas krótkiego pobytu w miasteczku przed wojną, że rybacy odróżniali się od innych ludzi. Może sprawiał to ich zawód połączony z nieustannym ryzykiem? Ostatecznie nigdy nie można było przewidzieć czy ryby wpadną w sieci. Rybacy trzymali się w miasteczku raczej osobno. W niedzielne popołudnia szli z żonami i dziećmi wolno, godnie, spacerując główną ulicą miasteczka, nie mieszając się z innymi. Gdy po pierwszej wojnie światowej w rzece zaczęło ubywać ryb, część młodych znad rzeki musiała stąd wyjechać. Pojawiali się po latach, na krótko, w słoneczne, niedzielne popołudnia. Prowadzili ładnie ubrane żony, zadbane dzieci. Szli niosąc butelki z winem, pudełka z ciastkami, torebki z cukierkami. Obdarowywali nimi swych rodziców i krewnych. Bo ci, którzy stąd odchodzili nie przepadali w wielkim świecie. Zdobywali nieraz trudne zawody i przedzierali się przez życie nie tyle uporem, ile odwagą, fantazją i zdolnościami. Wracali tu już jako adwokaci, główni księgowi wielkich przedsiębiorstw, marynarze lub lotnicy. Stawali na brzegu i patrzyli na rzekę swego dzieciństwa, a potem szli do drewnianych domków na marynowanego węgorza, doskonałego w smaku, specjalność rybackiego menu.

Pojęcia nie miałem, wtedy kiedy pływałem łódką z Heleną, że po wojnie będę się interesował rybołówstwem i to w tak wielkim stopniu, jakby to była dla mnie w życiu sprawa niemal najważniejsza. Ale wtedy w czwartym roku wojny byliśmy młodzi i było lato. Były szuwary, woda pod nami, a nad nami słońce i czyste niebo. Nie kładliśmy między nasze ciała nagiego miecza i nie ścigał nas gniew króla Marka. Obok, za gęstwą szuwarów był okrutny świat pogrążony w szaleństwie i nienawiści. Hitlerowski terror szalał usiłując zniszczyć wszystko co ludzkie. A my w tych krótkich chwilach w łodzi, na rzece w szuwarach, mieliśmy złudne poczucie bezpieczeństwa, wyłączenia ze świata grozy i nieszczęść.

Któregoś wieczoru, kiedy rzeka połyskiwała jak roztopione srebro i gdyż żegnałem Helenę u białego kamienia i trzech topól powiedziała:

— Nie przyjeżdżaj jakiś czas. Są aresztowania. Niemcy zabrali naczelnika poczty, lekarza i jednego z naszych chłopców. Mój brat nie nocuje w domu.

Całowaliśmy się długo, namiętnie, rozpaczliwie.

— Boję się o ciebie — szepnęła.

— Boję się o ciebie — powiedziałem.

Stałem przy rzece i patrzyłem jak Helena oddala się. Jej sylwetka wsiąkała w coraz ciemniejącą dal. Nie zobaczyłem jej już więcej.

* * *

Adiustowałem właśnie artykuł o połowach płastug, gdy wszedł mężczyzna. Był postawny, opalony, poruszał się krokiem sprężystym, choć lekko kołyszącym się. W ręku trzymał fajkę. Miał na głowie czarną czapkę, z małym daszkiem, taką jaką nosili tu zazwyczaj rybacy. Zdjął ją, uważnym spojrzeniem obrzucił pokój, zatrzymał przez chwilę wzrok na maszynistce, która nie wiadomo czemu spłonęła rumieńcem i pochyliła głowę nad maszyną.

— Pan redaktor? — spytał wyciągając do mnie szorstką, opaloną dłoń.

— Słucham pana — powiedziałem wstając i podając mu rękę.

Usiadł z rozmachem, aż jęknęło pod nim krzesło. Na kolanach trzymał grubą, wypchaną teczkę. Wyjął z kieszeni skórzany kapciuch. Nabił tytoń do fajki, zapalił, zaciągnął się dymem i wypuścił na mnie szaroniebieską chmurę.

Obserwowałem go z zainteresowaniem. Tak właśnie wyobrażałem sobie typowego człowieka morza.

— Słucham pana, panie kapitanie.

Tytułowałem go kapitanem. Z pewnością jest szyprem, pomyślałem.

— Bo widzi pan, panie redaktorze — ciągnął wilk morski — czytałem pana artykuł o połowach ryb na światło.

Ciekaw byłem o co mu chodzi. Istotnie parę miesięcy temu przeglądając jak zwykle zagraniczne czasopisma fachowe, natrafiłem na cykl artykułów o najnowszych metodach połowów ryb, przy pomocy światła elektrycznego. Wynotowałem sobie najciekawsze wiadomości i napisałem o tym w wydawanym przez nasz Instytut dwutygodniku dla rybaków. Połowy na światło znane już były w dawnych czasach. I tak na przykład rybacy starożytnej Grecji wypływali nocami z płonącym łuczywem. Ryby zwabione światłem podpływały blisko łodzi, a wtedy ludzie rzucali w nie ościeniami. Teraz w ZSRR próbowano zastosować światło elektryczne jako przynętę przy połowach ryb morskich. Eksperymenty dokonywane na morzach: Kaspijskim, Czarnym, Bałtyckim, Japońskim i Ochockim potwierdzały istnienie reakcji na światło elektryczne niektórych ryb. Bardzo silnie reagowały zwłaszcza kaspijskie szproty. W związku z tym zjawiskiem naukowcy opracowywali metody połowów ryb na świetlną przynętę i to przy zastosowaniu rozmaitych sieci i przeróżnych lamp z kloszami przezroczystymi, mlecznymi lub kolorowymi.

— Łowię ryby na światło elektryczne — powiedział przybyły. — No, wprawdzie to jeszcze początki, pan rozumie, panie redaktorze, ale chciałem się podzielić...

— Co pan mówi? — wykrzyknąłem w radosnym podnieceniu. — Pan? Łowi pan na światło? Ależ to cudownie. Z jakim wynikiem? — spytałem niecierpliwie.

— Ze znakomitym.

Wyrzucił na biurko zawartość teczki: szkice, notatki, wykresy, zestawienia.

— O! Widzi pan...

Wskazując ustnikiem fajki pokazywał mi schematy i odpowiednie rysunki.

— Tu kuter, tu sieci, tu lampa. O! A tu, proszę spojrzeć panie redaktorze, tu gromadzą się dorsze. Z tej burty wyrzucamy sieć. A tu, proszę się przyjrzeć... — rozwinął rulon kratkowanego papieru zapisany drobnymi kolumnami cyfr. — Zestawienia pierwszych wyników. Na tej stronie połowy bez światła. Wyniki raczej mierne. Tu zaś z zastosowaniem lampy elektrycznej. Prawda? Jest różnica, Kollossalna!

— Mam pewną prośbę — odezwał się po chwili.

— Może być pan pewny, panie kapitanie, że zrobimy wszystko co w naszej mocy.

— Panie redaktorze, jak panu wiadomo dorsz jest rybą przydenną. Musimy więc opuszczać sieci nieraz dość głęboko. A więc i światło. Pękają klosze. Rozumie pan? A jak klosze to i żarówki. Ciśnienie wody, różnica temperatur. Nie mogę dostać odpowiednich kloszy. Gdyby panowie...

Zaprowadziłem go do szefa. Gdy w pół godziny potem wyszedł, redaktor naczelny zawołał mnie do siebie.

— Fenomenalna historia! — powiedział do mnie. — To jest coś. Musimy kapitanowi pomóc. Już ja się o to postaram, żeby dostał odpowiednie klosze. No i oczywiście musimy ruszyć prasę.

Ruszyliśmy radio i prasę, centralną i miejscową. Fachowe pisma techniczne zamieszczały szkice i tabele naszego eksperymentatora. Nasi naukowcy odłożyli mniej ważne badania zanurzając w morzu klosze z lampami. Szef dzwonił co kilka dni do laboratorium pytając o wyniki doświadczeń. Naukowcy odpowiadali, że na razie nie mogą nic powiedzieć. Muszą jeszcze przeprowadzić szereg eksperymentów. „Guzdrzą się" — złościł się szef. „A to taka ważna sprawa". Do hut szkła płynęły nasze prośby i monity o jak najszybsze wyprodukowanie odpowiednich lamp i kloszy dla naszego wilka morskiego.

Przypomniałem szefowi o możliwości mojego awansu.

— Ależ tak. Należy się panu. Oczywiście.

Któregoś dnia wezwał mnie szef do gabinetu.

— Aleśmy się wygłupili! — powiedział. Po licha mi pan sprowadzał tego faceta.

— Nie rozumiem.

— Zaraz pan zrozumie. Dorsz na światło nie bierze.

— Dlaczego?

— Nie ma przyjemności.

— Ależ przecież ten rybak... ten kapitan...

— On taki rybak jak ja cesarz chiński — powiedział szef. — Prywaciarz, który nigdy w życiu nie był nawet na kutrze. Kupił łódź i ciągnie z tego zyski. Ponieważ zaczął mu się przypatrywać Wydział Finansowy, gość wymyślił racjonalizatorstwo. Rozumie pan? Mają męczyć podatkami wielkiego racjonalizatora?

— Ależ ryby biorą na światło.

— Tak. Tylko że nie wszystkie. Reagują doskonale szproty, sardele, sajry i cały szereg innych. Ale nie dorsz, nie dorsz. Czy pan czytał gdzie żeby dorsz brał na światło?

Wyszedłem z gabinetu całkowicie przybity. Nie było nadziei na awans. Co to za głupia ryba, ten dorsz!

(Fragment powieści pt. „Brzeg" przygotowywanej dla Wyd. Łódzkiego).

Rys. W. Kondek

ROBERT GLUTH

CICERO

kiedy karzeł się upije jest zły
i porzuca radość ckliwą miód bolesny
za które kupował uśmiechy
Katylina woli karła gdy zły
przez łzy
kłami błyska szczęśliwy

gdy Katylino odchodziłeś
brzegiem lasów
skrajem lasu który lubisz
pomyślałem jakiś ptak zerwany
ze snu zerwany
obudził

potem pancerz powleczono na forum
na ostatnie moje przemówienie
potem ludzie szli
skrajem lasu brzegiem zieleni

czego chcecie ode mnie ludzie

LIRYK NA KLAWESYN

nie ma powrotów Hanko
czas się do nas zbliża
lekko dotyka dłoni
twarze trochę zmieni
zostawi nam urodę na kilka deszczowych jesieni
może tylko źrenice nieznacznie przyciemni?

nie ma powrotów Hanko
ale przymknij oczy
i całe moje ciało powtórzysz bezbłędnie
a ja — pachnący tobą
każdy jęk tak mroczny
że z lękiem wstępowałem w twoje upojenie

zawodna
zawodna pamięć:
radość zapach skóry
nie uda się wszystkiego drugi raz powtórzyć

podobnie zmarłe gwiazdy
iskrzą bryły lodu

coraz słabiej

aż zgasną

bo nie ma powrotu

Artyści-tkacze w Polsce Ludowej

Pierwsza z serii jubileuszowych wystaw — otwarta. Na drugim piętrze Muzeum Włókiennictwa, w sztafażu przemysłowego wnętrza z końca XIX wieku, w niskiej hali geyerowskiej „białej fabryki", eksponowano około 100 dzieł sztuki tkaczy-artystów. Obrazy tworzone barwną nicią, obrazy powstające mozolnie na warsztatach rodem z minionego wieku a przecież tak bardzo współczesne, stanowiące niejako historię artystycznego tkactwa Polski Ludowej. Od dostojnych, „piastowskich" żakardów Berbeckiej do tkanych kompozycji przestrzennych Sadleya, od taszystowskiej „Fregaty" Zofii Litak do figuratywnych obrazów Gałkowskich. Na drugim piętrze Muzeum Włókiennictwa znajdziemy przekrój przez artystyczne i formalne kierunki artystów-tkaczy, znajdziemy chronologię, historię i dzień dzisiejszy tego gatunku plastyki — budzącego obecnie coraz większe zainteresowanie świata.

Równo rok minął od pierwszej wystawy łódzkiej grupy „Artystów-Tkaczy", a już prace ich oglądał Meksyk na Igrzyskach Olimpijskich, już posypały się propozycje zakupów, znalazły się one w zbiorach muzealnych. Cztery wystawy polskiej tkaniny artystycznej obejrzały tysiące ludzi w Związku Radzieckim — eksponowano je niedawno w leningradzkim Ermitażu, w salach wystawowych Wilna, Tallina, Rygi. Jeszcze w tym roku odwiedzą Rzym, Mediolan i Tunis.

Dyrektor Kondratiukowa z każdej takiej wyprawy, będącej niezwykłą reklamą polskiej sztuki i polskiego kunsztu tkackiego — przywozi pliki entuzjastycznych recenzji. Polscy artyści-tkacze zdobyli już sobie na świecie zasłużoną sławę. Na Biennale w Lozannie ich tkaniny budzą powszechny podziw, choć przychodzi im konkurować z pracami takich uznanych sław jak Picasso czy Arp.

Najlepsze, najciekawsze prace artystów-tkaczy eksponowano na otwartej właśnie wystawie. Grają wszystkimi kolorami tęczy, bogatą fakturą splotów i węzłów — są przepięknym i oryginalnym widowiskiem plastycznym. Trochę tylko szkoda, że sztuka artystycznego tkania, tak bogata przecież w tradycje — z takim trudem toruje sobie drogę na oficjalny Parnas polskich sztuk plastycznych. Może ta wystawa — retrospektywny przegląd osiągnięć artystów-tkaczy, jubileuszowy pokaz określający twórczą drogę polskiego tkactwa artystycznego przyczyni się do podniesienia rangi sztuki użytkowej. Bowiem wystawa ta — jak podkreślano w uroczystych przemówieniach — jest wydarzeniem nie tylko dla artystów, ale dla wszystkich, dla całego przemysłu włókienniczego — tu bowiem bije źródło tej sztuki.

Fot. W. Parys

JERZY DARNAL

Miłości niegdysiejsze śniegi

Chociaż znajomość listów Abelarda i Heloizy jest dziś zjawiskiem nader rzadkim, sam dźwięk tych imion brzmi swojsko miłą dla ucha melodią. Orientujemy się przecież na ogół, że miłość niezwykłych kochanków jest bodaj pierwszym w historii ludzkości w pełni udokumentowanym przekazem wielkich porywów serca, dla których trudno znaleźć odpowiedniki choćby już tylko w legendzie. Było to uczucie o takim natężeniu, że nawet po upływie stuleci, świecąc blaskiem po trosze przygasłym, rozgrzewało wyobraźnię pisarzy tej miary co Petrarka, A. Pope czy J. J. Rousseau; przecież i w naszych czasach, napisana ledwie dwadzieścia lat temu sztuka R. Vaillanda pt. „Heloiza i Abelard" szła w teatrach paryskich pełnymi kompletami wywołując entuzjazm publiczności. Bo chętnie dajemy posłuch wielkim porywom namiętności, które w nieporównywalnie mniejszej skali odzywają się niekiedy w każdym z nas; zgodnie, że starszą jeszcze niż dzieje średniowiecznych kochanków, uwagą Terencjusza, że nic, co ludzkie, nie jest nam obojętne.

Listy Abelarda i Heloizy pisane w oryginale po łacinie, które pięknie przełożył na polski Leon Joachimowicz (tłumaczowi temu zawdzięczamy dokonany wcześniej przekład „Historii moich niedoli") zniewalają nas dziś, w osiem wieków po ich powstaniu, mniej swoim wątkiem romansowym, niż zawartą w nich głęboką prawdą psychologiczną o ludzkiej klęsce, której w małym stopniu może zapobiec najwyższe nawet poświęcenie. Religijna ekstaza kochanków, znajdująca karykaturalne niemal odbicie w korespondencji, jest tu bowiem nie tyle próbą odrodzenia się, ile ucieczką. Wiemy to my i wiedzą oni oboje. Toteż, jakby żywcem zapożyczona z opowieści Okrągłego Stołu, legenda dobudowała do ich biografii wątek tyleż samo poetycki, co i dydaktyczny: po śmierci Heloizy zmarły dwadzieścia lat przed nią Abelard otwiera ramiona, aby na zawsze połączyć się w grobie z ukochaną. Gdyby ta nieszczęśliwa miłość nie znalazła wreszcie pośmiertnej chociaż nagrody, czulibyśmy jakiś zawód.

Początek znajomości kochanków, tak jak to opowiada sam Abelard w liście do przyjaciela, jest dosyć banalny, nawet jak na skromne wymagania XII wieku. Rysuje tam siebie jako pospolite go uwodziciela, który nadużył zaufania powierzonej jego pieczy siostrzenicy kanonika Fulberta. Jest nią właśnie Heloiza, którą pod pozorem udzielania lekcji teologii, Abelard wprowadza w świat doznań cielesnych milszy mu nagle niż wiedza wszystkich mędrców starożytności. A ten pierwszy występek pociąga za sobą natychmiast następny: dostojny nauczyciel staje się poetą zapominając nawet o wskazaniach znanego mu dobrze świętego Hieronima, który dowodził, że wiersze są pokarmem demonów.

W historii tej nie ma jeszcze nic barwnego, kochanko wie nie muszą pokonywać prawie żadnych przeszkód. Abelard jest domownikiem Fulberta, a ufność starca sięga tak daleko, że upoważnia występnego nauczyciela do stosowania kar cielesnych wobec siedemnastoletniej Heloizy, gdyby spostrzegł, że zaniedbuje się w naukach. Od banału ocala swoją miłość sama Heloiza. Chociaż spodziewa się dziecka, odrzuca propozycję zawarcia małżeństwa i zgadza się na zalegalizowanie swego związku z Abelardem dopiero wtedy, gdy przekonał ją, że skandal mógłby zagrozić jego naukowej karierze. Po latach przypomni to w pełnym goryczy liście: „Wolałam wybrać wolną miłość, niżeli małżeństwo, miłość niż jarzmo". Wyznanie to brzmi dziś równie śmiało jak osiemset lat temu.

Ale skandalu nie można już uniknąć: Paryż tamtych lat nie jest Paryżem dzisiejszym. Czego nie zna jeszcze kanonik Fulbert, znają już uliczni śpiewacy. W ten sposób, początkowo niejako na kredyt, miłość Abelarda i Heloizy przeszła do pieśni.

Ledwie poślubioną małżonkę odsyła Abelard do klasztoru. Posłuchała go. „Nie chcąc ci się w niczym sprzeciwiać, zdobyłam się na odwagę, aby dla twego upodobania jeszcze za życia pogrzebać się w grobie" — wytłumaczy swój postępek Heloiza. Nie chrześcijańska pokora więc, nie pragnienie ekspiacji sprawia, że młodziutka dziewczyna przywdziewa zakonną suknię. Jej życie uczuciowe jest samą miłością, nie wstydzi się tego wyznać. „Zawsze, jak cały świat przyzna, kochałam miłością bez granic". Inaczej Abelard. Człowiek, którego teorie naukowe obalały skostniałe doktryny średniowiecza, ścigany za swoje poglądy przez dwa synody, uczuciowo mieści się w schematach XII wieku. Porywy serca Mistrza Abelarda zdają się odpowiadać ówczesnemu zapotrzebowaniu społeczeństwa nemu na grzech, który odkupiony stawał się natychmiast cnotą prawdziwego chrześcijanina. Od grzechu przecież rozpoczynał swoją drogę żyjący w tym samym niemal czasie co Abelard człowiek tak święty jak Franciszek z Assyżu. Występek uwypukla ułomność człowieka i wielkość boskiej łaski, która będzie nagrodą za skruchę.

W przypadku Abelarda powrót na drogę cnoty połączony jest z przeżyciem skopiowanym z najciemniejszych średniowiecznych kronik. Mściwy kanonik Fulbert wynajmując płatnych pachołków sam wymierza mu karę za cudzołóstwo. Zaskoczony we śnie Abelard budzi się eunuchem. I od razu widzi w tym zdarzeniu, które poruszyło i oburzyło nawet sfery duchowne, karzącą rękę Opatrzności, której poddaje się z całą pokorą. Żal za utraconą męskością jest bardzo krótki, Abelard się modlitwy dziękczynne Bogu, że krwawą zemstą Fulberta uczynił go niedostępnym dla dalszych pokus. Jakże inaczej zachowa się Heloiza. „Mękę, jakiej doznałeś na ciele w ciągu godziny, pragnę znosić w udręce duszy przez całe życie" — oświadczy namiętnie i można wierzyć jej, że dotrzymała słowa.

Wymiana listów między rozdzielonymi kochankami rozpoczyna się już po okaleczeniu Abelarda, który szuka pociechy w życiu religijnym. Otoczony uczniami, ściągającymi za nim z najodleglejszych zakątków Francji na dobrowolne wygnanie, posyła opuszczonej kochance uczone traktaty skrzące się porywami umysłu, ale już nie serca. Heloiza odpowiadając równie niepospolitymi zwrotami wplata w nie swoje lamenty: „Namiętność, nie przyjaźń, zew krwi płomiennej nie miłość, zbliżyły cię do mnie, więc kiedy wygasł żar twoich uczuć, na palenisku zostały same popioły". Cierpią oboje: Abelard, aby zasłużyć na zbawienie. Heloiza, aby uczynić nieśmiertelnym swoje uczucie dla mężczyzny. A jest wówczas przełożoną w klasztorze Parakletu.

Trzeba podziwiać odwagę jej miłości, którą przedkłada nad wszystkie cnoty chrześcijaństwa. Nie tylko trwa w „grzechu", ale jeszcze skarży się, że nie może go pogłębić. „Zamiast żałować tego, co uczyniłam, tęsknię za tym co utraciłam". I kiedy wreszcie, po daremnych próbach odzyskania Abelarda, prowadzi z nim nużące teologiczne dysputy wiemy, że czyni to nie z gorliwości religijnej. To jedyny sposób, jaki jej jeszcze pozostał, obcowania z ukochanym. A przecież „nigdy nie pragnąłem niczego od ciebie — prócz ciebie".

Miłość z korespondencji Abelarda i Heloizy jest nieustanną skargą, nie może już więc być ani triumfem, ani nieprawdą. Im większa jest doczesna klęska kobiety, tym większe zwycięstwo zza grobu.

Piotr Abelard: „Abelard i Heloiza — Listy", opracowanie i przekład Leona Joachimowicza. Instytut Wydawniczy „Pax" 1968, str. 636 + indeksy.

Półka z książkami

DROGA W CAŁY ŚWIAT

„Droga w cały świat" — taki jest — metaforyczny jak sądzę — tytuł zbioru reportaży Mirosława Mieszczankowskiego. Tytuł tomu wzięty zresztą został z reportażu o tym, jak młodzież w Jasieninie wybudowała drogę, ale dla mnie ta garść reporterskich zapisków jest przede wszystkim drogą na wieś Ziemi Łódzkiej.

W tych reportażach odnajdujemy bowiem problemy — duże i małe — nurtujące wiejskie społeczności odnajdujemy niefałszowany, autentyczny kawałek Polski — już nie powiatowej, lecz zgoła gromadzkiej. Mieszczankowski ma temperament i wnikliwość. reportera — zjeździł tę ziemię w niedalekich podróżach — jest mu ta ziemia bliska i znana. Nie ma w tych zapiskach nic z taniego i nieznośnego zafascynowania egzotyką wsi w jakie popada nieraz reporter-mieszczuch.

Reportaże zawarte w tomie „Droga w cały świat" są proste, rzetelne, dalekie od czułostkowości, sentymentalizmu i literackich smaczków. Jest to po prostu dobra dziennikarska robota. Sam autor pisze zresztą w przedmowie, że „wszystkie zamieszczone tu reportaże powstały niejako z pewnego rodzaju konieczności, z nakazu chwili, w sytuacjach zmuszających do pośpiechu, jeżeli napisanie ich nie miało być w ogóle pozbawione sensu. Nie są to zatem reportaże pretendujące do uogólnień..."

A jednak mimo tych uwag reportaże zebrane w tomie „Droga w cały świat" dają na pewno jakiś autentyczny obraz podłódzkiej wsi, na pewno ukazują jej bardziej lub mniej typowe problemy.

J.W.

Mirosław Mieszczankowski „Droga w cały świat" Wyd. Łódzkie 1968, cena 8 zł.

ROMAN ŁOBODA

„MGŁA" w Teatrze Propozycji

3. III. 1969 r odbył się pokaz sztuki Zofii Lorentz pt. „Mgła".

Pragnę w tym miejscu przypomnieć jakie obecnie cele przyświecają comiesięcznej imprezie, którą nazwano Teatrem Propozycji.

Przede wszystkim prezentowanie nie granych jeszcze (na zawodowej scenie) polskich sztuk współczesnych. Sztuki prezentuje się zaproszonym gościom i autorom, uważając, że pokaz w wykonaniu artystów scen łódzkich winien być przyjęty przez autorów jako możliwie doskonałe rozpisane na głosy odczytanie dzieła co, jak sądzę, ogromnie pomaga w autoanalizie i autoocenie. Udział gości w dyskusji może pomóc autorowi, ukazując mu różne typy percepcji, a zatem różnorodność interpretacji sztuki zarówno w jej warstwie treściowej jak i formalnej. Mam na myśli również tych szanownych gości, którzy zajmują się profesjonalnie krytyką teatralną, a ich głos w dyskusji ma w przypadku tego rodzaju roboczych pokazów duże znaczenie dla autora a nawet być może dla przyszłości współczesnej polskiej dramaturgii.

Efekty działalności Teatru Propozycji nie od razu są dostrzegalne, niemniej jednak należy dołożyć starań, żeby prezentowane utwory były coraz ambitniejsze, a audytorium znawców coraz bardziej zaangażowane w obiektywnej dyskusji i ocenie.

Pokaz sztuki Zofii Lorentz pt. „Mgła" jest znamienny jeżeli chodzi o rolę inspiracyjną T.P. Znana i niemłoda już pisarka łódzka zadebiutowała w T.P. sztuką pt. „Pierwsza runda". Duży postęp jaki poczyniła autorka niezłej przecież „Pierwszej rundy" uwidacznia się bezspornie w następnej sztuce pt. „Mgła". Dowodzi to jak bardzo są autorom potrzebne możliwości sprawdzenia się i konfrontacje gatunku, którego uprawianie jest największym ryzykiem w sztuce.

„Mgła" jest utworem ambitnym a tematycznie odważnym. Jest to sztuka nie tyle o człowieku, któremu przeszczepiono serce młodej dziewczyny, co o okolicznościach i atmosferze, jaka się wokół tej niecodziennej sprawy wytworzyła. A okoliczności w pierwszej części sztuki wzbudzają pewną nieufność: czy aby najszlachetniejszy z celów — zachowanie życia jednemu człowiekowi — nie bywa niekiedy w kolizji z równie wzniosłym celem — ratowania życia drugiego człowieka.

Zofia Lorentz przechodzi na krótko od okoliczności, i atmosfery „pierwszej części" utworu, do zagadnień adaptacji „ozdrowieńca" w społeczeństwie. Tę część nazwałbym środkową i zarazem zwrotną w utworze.

W tej części też dominuje ulubiony typ penetracji pisarskiej autorki — uwarunkowania społeczno-socjalne.

Bohater — lotnik przed operacją — podejmuje pracę w biurze. Czuje się zupełnie dobrze, po dwuletnim okresie rekonwalescencji jest tylko jeszcze jakby nieco słabszy, niż w okresie pełnego zdrowia przed rozbiciem się podczas lotu.

Wścibstwem, natarczywością a nawet brutalnością witają nowi współpracownicy człowieka z przeszczepionym sercem. Bohater nie przejmuje się tym za bardzo, nurtuje go bowiem inna sprawa. Chce wreszcie dowiedzieć się od kogo dostał serce, komu zatem, czyjej śmierci zawdzięcza życie.

Od tego miejsca zaczyna się niejako trzecia, w sensie konwencji dramaturgicznej, niepodobna do poprzednich część dramatu. Bohater w poszukiwaniu dawcy odkrywa zgoła niespodziewane i sensacyjne okoliczności, jakie towarzyszyły śmierci tej, której serce w sobie nosi. Pochłonięty bez reszty tą sprawą zaczyna swoje „drugie" życie.

Ta nagła, niczym nie uzasadniona w poprzednich częściach pasja detektywistyczna bohatera, zmienia charakter całej sztuki. Po tym, dość niespodziewanym, przeskoku autorka usiłuje spointować całość psychologicznie. Jednakże rodowód reakcji psychologicznych, na których autorka oparła zakończenie, nie może chyba stanowić jakiegoś odautorskiego uogólniania czy podsumowania całości.

Gdyby elementy sensacyjności od początku przenikały sztukę, dodawałoby to jej nawet atrakcyjności scenicznej — w tym wypadku od autorki zależy, jak udoskonali swój interesujący utwór.

W pokazie wzięli udział artyści scen łódzkich: Wojciech Pilarski, Kazimierz Iwiński, Jan Zdrojewski, Zygmunt Malawski, Bohdan Mikuć, Zbigniew Nawrocki, Zofia Grążiewicz, Maria Kozierska, Reżyseria: Bohdan Mikuć

Na zakończenie i w świetle dotychczasowych doświadczeń, jeszcze parę ogólnych uwag o imprezie.

Wydaje się, że „Teatr Propozycji", to tytuł nieco mylący. Dotychczasowe spotkania, mniej czy bardziej udane, miały bardziej charakter konfrontacji niż propozycji teatralnych, bowiem nie tyle chodziło w nich o proponowanie ewenementów dramaturgicznych (a jest ich tak niewiele w kraju, że nawet sceny zawodowe mają z tym kłopoty), co pobudzanie i inspirowanie rodzimej dramaturgii przez prezentację polskich, nie granych jeszcze, utworów scenicznych i kompetentną nad nimi dyskusję. Kto wie czy nie warto by się zastanowić na przykład nad nazwą: Teatr Konfrontacji.

HEBEL i SŁOWO

Dalszy ciąg ze str. 4

— Najpierw postawiłem dwa pokoje. Potem kuchnię i trzeci pokój, w którym teraz jest pralnia. Nie byłem zadowolony. Zacząłem wszystko przerabiać, podnosić pułap, poszerzać okna i ściany. Wszystko robiłem sam: murowałem, dekowałem, tynkowałem, heblowałem, szkliłem; sam zrobiłem stoły, krzesła, szafy, tę altankę w ogrodzie i te drzwi dębowe, sam posadziłem drzewka... Tak jak w poezji, tak i w tej pracy dążyłem do doskonałości, która z uporem uciekała ode mnie.

Wstawał o czwartej rano, kładł się po północy. Rozkład dnia opisał w wierszu:

W dzień praca fabryczna
wieczorem przy domku
W nocy pisanie wierszy —
rozpacz w krąg i smutek
przed świtem z ust żony zbieranie poziomków
i sen krótki jak w bajce na radosną nutę.

Wspomniana praca fabryczna była jego trzecią pasją. Dotrzymał wypisanej na kartach „Quo Vadis" przysięgi. Przez czterdzieści trzy lata był „nieznanym robotnikiem" w fabryce, która po wyzwoleniu przyjęła nazwę Zakładów Przemysłu Wełnianego im. generała Świerczewskiego. Pierwszy odbudowywał ją z gruzów wojny. Pierwszy stanął przy nowym, ludowym stanowisku pracy. Miał opinię znakomitego fachowca, ofiarnego pracownika i dobrego kolegi. Mało kto z załogi wiedział o jego poetyckiej pasji...

A przecież trwała ona nieprzerwanie.

— Zaraz po ślubie — wspomina Aleksandra Wieczorkowska, żona poety — zamiast się zajmować mną, zamykał się w pokoju i pisał albo czytał całymi nocami. Jak przyszły dzieci, to wszystko było na mojej głowie. Strasznie był dziwny. I żeby chociaż z tych wierszy miał jakieś pieniądze Gdzie tam. To były wydatki, bo on każdą kupioną książkę musiał oprawić u introligatora, a to przecież kosztuje.

Drukował w różnych czasopismach, m.in. w „Odrodzeniu", „Kamenie", „Meteorze" i „Okolicy Poetów". Ale pierwsze honorarium otrzymał dopiero po wojnie z łódzkiego pisma „Włókniarz".

— No i raz dostałem pieniądze za wiersze w radio. Kupiłem sobie za to zegarek kieszonkowy, z myślą o tym, że będzie to symbol mojej wdzięczności dla Stanisława Czernika, który jest moim ulubionym poetą współczesnym. Ze Stanisławem Czernikiem nawiązałem korespondencję w roku 1935. Wydrukował kilka moich wierszy w „Okolicy Poetów" Dał mi dużo wskazówek i przykazań, dzięki czemu mogłem rozwinąć swój poetycki warsztat. Osobiście — poznałem pana Czernika dopiero trzy lata temu. Złożyłem wówczas u niego wszystkie rękopisy, parę tysięcy stron, a on przesiał je, zakomponował w całości, zaniósł do Wydawnictwa Łódzkiego i dzięki temu zdołałem ukoronować książeczką swoje żmudne, długoletnie zapasy ze słowem. Tego, co odczuwam do Stanisława Czernika nie potrafię wyrazić ani w mowie ani w piśmie.

3.

Bronisław Wieczorkowski pokazał mi regały, które własnoręcznie wyciosał i heblował, pokazał mi książki: encyklopedie, słowniki, zbiory poezji, trochę prozy i opracowań krytycznych — wszystkie oprawione, idealnie czyste.

— Brzydzę się wyczytaną, pobrudzoną, zniszczoną książką. Nie mogę takiej wziąć do ręki. Już od młodości mam nawyk kupowania tylko nowych książek i oprawiania ich. To jest później jak coś żywego.

Wyjmuje nieraz z regałów swoje ulubione książki i grzeje w dłoniach. Bo czytać już nie może, wypatrzył wzrok.

Lecz może jeszcze zamazanym, nieczytelnym pismem utrwalać swoje myśli.

I utrwala. Ukradkiem, po nocach. W tajemnicy przed żoną, która jest najwierniejszym towarzyszem życia i drży o jego zdrowie.

Zastanawiam się, jakże na koniec uzasadnić potrzebę napisania tego długiego, może banalnego reportażu. Czy swoim ogromnym podziwem dla bezprzykładnej pasji, uporu i konsekwencji poety? Jego wierności ideałom? Czy też fragmentem ze wstępu Stanisława Czernika?...

„Praca robotnicza i słowo poetyckie — tak spoiście ze sobą zestrojone, że sprawiają wrażenie organicznego związku, udokumentowanego długim i trudnym żywotem robotnika-poety — to zjawisko niezmiernie rzadkie i trudno tu nawet mówić o odpowiednikach w przeszłości i teraźniejszości literackiej. Nie bez znaczenia jest fakt, że rzadkie to zjawisko dało o sobie znać w najbardziej żywotnym naszym środowisku robotniczym i jest jednym z ważkich dowodów jego prężności kulturalnej". ANDRZEJ MAKOWIECKI

ANDRZEJ GRUN

Ziemia – planeta ludzi

Można by było sztukę Konstantego Mackiewicza rozpatrywać pod kątem różnorakich — izmów i kierunków jakie działy się w malarstwie europejskim od 1900 roku przynajmniej. Można by pokusić się o zaopatrzenie poszczególnych obrazów w odnośne etykietki, metryczki, rodowody, wyśledzić ich koneksje ze sławnymi pierwowzorami. Można by, bo wystawa Mackiewicza w warszawskiej Zachęcie stanowi retrospekcję od 1913 r. po dzień dzisiejszy. Można by — ale po co? Mamy nieraz do czynienia z czyimś dorobkiem twórczym, w którym odnalezienie związków formalnych z tradycją czy aktualną awangardą staje się naczelnym warunkiem dla pełnego uświadomienia sobie przyczyn i skutków. Kiedy indziej stajemy wobec sztuki, w której na plan pierwszy wyłaniają się inne zgoła problemy, która stawia nam inne pytania i daje inne odpowiedzi. Do takich należy sztuka K. Mackiewicza. Pozostawiając więc buchalterom cudzej twórczości trud zaopatrzenia jego obrazów w odpowiednie etykietki, zwróćmy uwagę na treść tej sztuki. Na to, co jest w niej najistotniejsze i najcenniejsze.

Tak się złożyło, że niemal jednocześnie z oglądaniem wystawy Mackiewicza wpadła mi w ręce książka Szymona Kobylińskiego pt. „Bronisław Wojciech Linke". Książka omawiająca twórczość i dająca pierwszy, bogaty zbiór reprodukcji tego wyjątkowego artysty. Nie mam zamiaru porównywać czy analizować obu malarzy we wzajemnym kontekście. Miałem po prostu okazję spojrzenia na pewne, czasami te same sprawy oczyma dwóch ludzi, których różnią środki formalne, ale łączy wspólna treść, duch głębokiego humanizmu, idea leżąca u podstaw ich sztuki. Tą ideą jest człowiek. Człowiek i jego planeta. Zresztą zarówno przy lekturze książki Kobylińskiego jak i przy oglądaniu obrazów Mackiewicza pamiętne słowa de Saint Exupery'ego „Ziemia, planeta Ludzi" towarzyszyły mi jak uparty refren, komentarz nieustępliwy i powracający. Można by śmiało te słowa pisarza umieścić jako motto twórczości Linkego i Mackiewicza, bowiem gryząca ironia tego zestawienia dopowiada więcej niż naukowe komentarze, oficjalne sprawozdania i liczby. Obaj artyści byli świadkami wydarzeń, przy których Apokalipsy Duerera czy sceny piekielne Memlinga wydają się dziecinną igraszką. Obaj bardziej czuli niż rozumieli ciągłą groźbę zagłady, wiszącą nad ludzkością. W obu budziła ona bunt, sprzeciw głęboki, protest.

Starożytni mawiali „jakże pięknym jest człowiek, jeśli człowiekiem jest". Rysował więc Linke swoje „Kamienne nieba" i koszmarne „Cyrki" ludobójców; swoje „Kamienie krzyczące" — miasta uczłowieczone, ukrzyżowane, znękane do ostatnich granic pożogą wojny. Maluje więc Mackiewicz swój ponury cykl „Tu byli ludzie", cykl wypalonych doszczętnie miast, wreszcie cykl „Szklanych domów" — miast przyszłości, które przypominają bardziej skupiska ślepych termitów niż osiedla ludzkie. Na płótnach Mackiewicza ziemia — owa planeta ludzi — jest ziemią nękaną, spustoszoną, poddaną próbie ognia i próbie jeszcze jednej — próbie rozwijającej się w szalonym tempie techniki. Moloch cywilizacji technicznej stworzonej przez człowieka zapanował nad nim, stał się jego panem bezwzględnym, okrutnym, przed którym nie ma ucieczki. Na jednym z obrazów Mackiewicza widzimy greckie kolumnady, gotyckie katedry, renesansowe dzielnice zdeptane szklanymi wieżowcami, ściśnięte pętlami autostrad i wiaduktów, oplecione lianami neonów, poryte tunelami kolei podziemnych. W tych morderczych uściskach giną one, duszą się, rozsypują w sterty gruzu. Bezbronne i niepotrzebne. Miał wizje swoich „szklanych domów" Stefan Żeromski. Jak różne od tamtych są wizje Mackiewicza.

Czy to co rysował Linke było wytworem chorobliwej wyobraźni? Ten, kto widział Warszawę w 44 i 45 roku wie, że rysował tylko prawdę. Kawałek prawdy. Czy obrazy Mackiewicza to fantastyka bez realnego odniesienia? To zabawa w przepowiadanie końca świata? Przecież zostały namalowane w czasie Wietnamu i Biafry. Czy centra wielkich metropolii to nie owe termitiery, owe „szklane domy" Mackiewicza, w których człowiek jest rzeczą najmniej istotną? Przyznam się, że sztuka Mackiewicza i Linkego jest mi bliższa i bardziej zrozumiała niż uszczelki gumowe przylepiane do płótna niż ruszające się kulki pingpongowe, niż wszystkie białe kwadraty na białych tłach. Jest to bowiem sztuka żywa i zaangażowana obok której nie można przejść obojętnie, a zaangażowanie nie jest tu słowem pustym bez pokrycia.

Między figowym listkiem a mini

Paryż — stolica światowej mody — obwieścił niedawno co będziemy nosić wiosną i latem tego roku. Kolekcje słynnych paryskich krawców nakazują eleganckiej pani wdziać spodnie w miejsce mini-spódniczki, założyć krawat, skórzany pas, ba nawet buty z cholewami! Przypomnieć w tym miejscu warto, iż jednym z głównych punktów oskarżenia przeciwko Joannie d'Arc było jej zamiłowanie do noszenia męskich strojów...

Są i tacy, którzy wierząc we wpływ mody na losy historii twierdzą, iż przyczyną wybuchu wielkiej Rewolucji Francuskiej była lekkomyślność wielkiej modnisi owych czasów, Marii Antoniny, żony Ludwika XIV. Nie chodziło tu nawet o to, że na toalety kapryśnej królowej wydawał dwór francuski ogromne sumy. Nie Po prostu, któregoś pięknego dnia, pierwsza dama Francji miała nieostrożność pokazać się swym poddanym nie w tradycyjnej sukni, lecz w czymś w rodzaju długich damskich spodni. Oberwało jej się wtedy niezgorzej. Zgorszony i oburzony lud, nie bacząc na królewskie herby, wywlókł ją z karety i mocno poturbował. Tylko cudem uniknęła śmierci. Mimo tej surowej lekcji, wiele ówczesnych dam naśladowało Marię Antoninę, z uporem wdziewając spodnie, zamiast spódnic.

Jeszcze w sto lat po straceniu królowej na placu la Grève, nie wpuszczano dam w spodniach do teatrów, nawet w Paryżu, mieście świata najbardziej tolerancyjnym dla kaprysów niewieściej mody. Dyrektorzy teatrów uzasadniali to w duchu iście francuskim: „wdziewanie takiego stroju jest niewskazane, gdyż odwraca uwagę widzów od sceny i aktorów. Publiczność ogląda panie w spodniach, aktorzy są oburzeni, że to nie oni, lecz spodnie są przedmiotem zainteresowania widowni". No proszę. A żeby tak już wtedy mini-spódniczki?...

W tym samym czasie w Europie mężczyźni z uporem walczą o wyłączność noszenia spodni Różnie próbowano wyjaśnić genezę obu strojów: sukni dla kobiet i spodni dla mężczyzn. Jak wiadomo, wspólnym protoplastą spodni i spódniczek była skóra zwierzęca, która osłaniała ciało od pasa w dół. I o ile taki strój nie przeszkadzał kobiecie w pracy przy „kuchni", o tyle diabelnie zawadzał mężczyźnie przy ściganiu dzikiego zwierza. Biegać w takim czymś było niewygodnie. Stąd rzekomo spodnie. Ten logiczny wywód obalano jednak na wszystkie sposoby, poczynając od tego, że strój ze skóry można było przecież dla wygody podkasać, lub podwiązać, a kończąc na tym, że w wielu krajach azjatyckich mężczyźni nie stronią od spódniczek (własnych) i że nawet w Europie, w górzystej Szkocji, są im wierni do dziś. Więc?

Twierdzą niektórzy, iż spodnie są w ogóle pomysłem stosunkowo późnym. Ponoć najpierw zaczęli je nosić nie myśliwi, lecz hodowcy bydła, którzy pierwsi dosiedli końskiego grzbietu. I że dla tego spodnie do końskiej jazdy obszywa się skórą. Jest to jedna z hipotez, a jest ich mnóstwo. Choćby jeszcze taka, że współczesny strój europejski ukształtował się od ubiorów dawnych ludów arktycznych. Niechby ktoś spróbował w warunkach polarnych mrozów przejść dziesięć kroków w samej tylko spódniczce! Nawet łza się w oku nie zakręci! Było zatem wiele „za" i „przeciw" różnym poglądom, ale za jednym opowiedział się koń, że to właśnie on odział ludzi w spodnie. I tak już zostało. Tym więcej, że nawet starożytni Rzymianie, na śmierć i życie zakochani w swych togach i tunikach, gotując większe wyprawy, w spodnie ubierali swoją słynną rzymską jazdę.

Tylko chłopstwo długo jeszcze pozostawało wierne sukniom i sukmanom. W IX i X wiekach, spódnica jako strój męski, nie była czymś niezwykłym ani w Anglii, ani we Francji, ani w Polsce. Kraciaste spódniczki, tak uwielbiane przez szkockich górali, i noszone dziś tylko w święta (po powstaniu w górnej Szkocji w XVIII wieku, angielskie prawodawstwo kategorycznie zabroniło nosić mężczyznom spódnice) — to ostatnia pamiątka z epoki bezkrwawej, ale namiętnej walki: spodnie contra spódnica. Po okresach burzliwych sporów, walk i kompromisów, bitewny szał ucichł nieco, żeby dziś znów rozgorzeć z nową siłą. Tym więcej, że na pole bitwy wkroczyły mini-spódniczki, które otwierają całkiem nowe, wcale obiecujące perspektywy. Mimo to spodniom daleko do klęski, a nawet wprost przeciwnie

ROZMAWIAMY Z TADEUSZEM ŁOMNICKIM

Pan Michał prawdziwy

Tadeusz Łomnicki należy do tej nielicznej grupy współczesnych polskich aktorów, którzy w swym dorobku artystycznym mogą poszczycić się imponującą ilością wybitnych kreacji, jakże różnorodnych!

Niewątpliwie do historii teatru przejdą kreacje, które stworzył w „Mazepie" (Mazepa), „Kordianie" (Kordian), „Muchach" Sartre'a (Orestes), „Dożywociu" (Łatka), w „Naszym mieście" Wilder'a (George Gibbes), „Music hall'u Osborne'a (Frank Rise), „Pierwszym dniu wolności" (Jan), „Karierze Artura Ui" (Arturo), „Pamiętniku szubrawca" Ostrowskiego (Gumow), „Dochodzeniu" Weissa, (świadek) oraz w reżyserowanej przez Lindsaya Andersona sztuce Osborne'a „Nie do obrony" (Bill Maitland).

Tadeusz Łomnicki znany jest również z wielu ciekawych kreacji w Teatrze Telewizji.

Na ekranie filmowym zadebiutował w roku 1946, filmem „Dwie godziny". Od tego czasu jego dorobek filmowy obejmuje 24 role i epizody. Przypomnijmy choćby tylko kilka tytułów filmów z udziałem tego wybitnego aktora: „Pokolenie", „Baza ludzi umarłych", „Eroica", „Zerwany most", „Niewinni czarodzieje", „Pierwszy dzień wolności", „Potem nastąpi cisza", „Stajnia na Salwatorze", „Bariera".

Za całokształt pracy aktorskiej Tadeusz Łomnicki otrzymał nagrodę im. Boya Żeleńskiego Klubu Krytyki Teatralnej przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich, jest także laureatem Nagrody Państwowej I stopnia oraz nagrody Ministra Kultury i Sztuki.

— Pamiętamy jeszcze dyskusję wokół obsady aktorskiej głównych ról w filmie pt. „Pan Wołodyjowski". Jak Pan przyjął propozycję zagrania postaci „małego rycerza"?

— Początkowo wahałem się. Zdawałem sobie sprawę z ogromnej pracy i wysiłku, którego ta rola będzie wymagała. Po półrocznym okresie przygotowań, poprosiłem o próbne zdjęcia. Jeszcze w dalszym ciągu nie byłem zdecydowany. Wiedziałem, że nim stanę przed kamerą, do postaci Pana Michała muszę być sam przekonany, aby później przekonać widzów. Stopniowo jednak, utożsamiając się z moim bohaterem, zacząłem coraz bardziej wierzyć w to co robiłem.

— Kreowanie znanej postaci literackiej, której wizerunek istnieje w społecznym wyobrażeniu stawia aktora chyba w szczególnie trudnej sytuacji?

— Na pewno. Świadomość, że każdy czytelnik Sienkiewicza ma swój portret Pana Michała szczególnie wzmagała napięcie. Wyjątkowo denerwujący był z tego względu pierwszy klaps. Było to 13. X. 1967 r. w zamkowym ogrodzie w Pieskowej Skale pod Krakowem. Nakręcaliśmy spotkanie Wołodyjowskiego z Zagłobą. Skupienie było ogromne. I to uczucie niepokoju, zdenerwowania, ciągłej konfrontacji z wyobrażeniami widzów nie opuściło mnie do końca.

— W dotychczasowym Pana dorobku filmowym dominują role bohaterów współczesnych. Czy oswajanie się z kostiumem filmowym, rekwizytem, i w ogóle z XVII wiekiem nie było trochę kłopotliwe?

— Przede wszystkim zdawałem sobie sprawę z tego, że mój bohater musi być dla widza prawdziwy. Toteż starałem się Pana Michała widzieć tak, jak go widzi przeciętny czytelnik Sienkiewicza, który o tej postaci wie tyle co ja albo i więcej. Niezależnie od tego czytałem pamiętniki autorów XVII-wiecznych. Studiowałem także popularne w tej epoce malarstwo portretowe, podpatrywałem gesty, miny, ludzi utrwalonych na tych obrazach. Szczegółowe rozmowy z prof. dr Adamem Kerstenem i ppłk doc. Jerzym Wimmerem przenosiły mnie nie tylko w epokę ale i przybliżały i pozwalały zrozumieć ówczesnych ludzi, ich obyczaje, militaria.

Mój ulubiony kostium bojowy miałem gotowy dużo wcześniej. W nim właśnie uczyłem się XVII-wiecznego życia. Z chwilą przystąpienia do zdjęć był jak „prawdziwy", nie czuło się już w nim stroju wykonanego w pracowni kostiumologa.

— Rola Wołodyjowskiego wymagała opanowania umiejętności jazdy konnej i szermierki. Była to z pewnością długa i trudna praca?

— Nauka tych umiejętności kosztowała mnie wiele wyrzeczeń (występowałem równolegle w teatrze) i wysiłku, przede wszystkim fizycznego. Rok minął nim przed kamerą stanąłem na koniu, a półtora nim znalazłem się na planie z szablą. Szermierki z ogromnym poświęceniem uczył mnie nasz mistrz olimpijski Andrzej Piątkowski.

— Które cechy „małego rycerza" chciał Pan najbardziej wyeksponować?

— Zależało mi przede wszystkim, by pokazać Wołodyjowskiego jako skromnego rycerza, który w okolicznościach wielkich okazuje swój wielki charakter. Najpiękniej sze w tej postaci to umiłowanie ojczyzny, tego co los mu przyniósł — Basi, i uwielbienie dla ukochanego hetmana.

— W swych początkowych wypowiedziach z chwilą rozpoczęcia zdjęć, mówił Pan, że wszystkie ujęcia, nawet te najbardziej skomplikowane realizowane są bez dublerów. Czy udało się to do końca filmu?

— Tak. I to nie tylko mnie. Również Magda Zawadzka i Mieczysław Pawlikowski nie są w żadnej scenie zastępowani.

— Trudności i niespodzianki towarzyszą zawsze powstawaniu filmu. Z pewnością nie brakło ich również podczas realizacji „Pana Wołodyjowskiego"?

— Istotnie. Na ich brak nie można było narzekać. Szczególnie utkwiły mi w pamięci te momenty, które bardzo przeżyłem.

W dniu, w którym miałem rozgrywać najtrudniejszy pojedynek w Kamieńcu (moim partnerem był Andrzej Piątkowski) miałem niedyspono waną rękę. Zdjęć nie można było odwołać. Nikomu się nie przyznając stanąłem do walki. Kosztowało mnie to wiele dodatkowego wysiłku i zdenerwowania.

Innym razem, w maju 1968 r. miały być nakręcane sceny wielkiej bitwy. W dniu, w którym miałem stanąć już przed kamerą — ćwiczyłem na koniu moment ataku. Niefortunnie. W pełnym galopie koń spłoszył się. Uległem kontuzji i dopiero po trzech tygodniach przystąpiłem do zdjęć. Jednak już nigdy nie wróciłem do poprzedniej formy. Cały ten późniejszy okres to walka z samym sobą i zdenerwowanie, że mogło być lepiej.

— Trzy lata temu w wypowiedzi dla „Kina" stwierdził Pan, że nie spotkał w filmie takiej propozycji, która dawałaby Panu pełne możliwości jako aktorowi. Czy i w jakim stopniu pragnienie to spełniła rola Wołodyjowskiego?

— Rola „małego rycerza" z pewnością może dostarczyć aktorowi wiele satysfakcji. Ale nie można tu mówić o satysfakcjach banalnych. Jestem szczęśliwy, że ludzie, którzy oglądają film są wzruszeni. Jest także dodatkowa przyjemność w tym, że przy okazji „Pana Wołodyjowskiego" mówi się o rzeczach związanych z historią. To nobilituje pracę i jest największą przyjemnością.

— Na jaki spektakl ze swoim udziałem zaprasza Pan w najbliższym czasie swoich licznych sympatyków?

— Na „Przygody Pana Michała", które w 13 odcinkach realizowane są dla telewizji. Jestem także w trakcie pracy nad „Makbetem", którego dla telewizji reżyseruje Andrzej Wajda. Lady Makbet gra Magda Zawadzka.

Rozmawiała:
JADWIGA PYCZEWSKA

LISTY DO REDAKCJI

PANIE REDAKTORZE!

Zechce Pan wybaczyć formę listu, ale nie jestem recenzentem filmowym, recenzja z „Pana Wołodyjowskiego" już się w „Odgłosach" ukazała i tak jak wiele innych ocen tego filmu obudziła we mnie zaniepokojenie. Pisze się o „Panu Wołodyjowskim", w superlatywach, że piękne, barwne widowisko, że prawdziwie sienkiewiczowskie że takie polskie, takie swojskie. Albo — że polski western, że konie, pojedynki, sceny krew w żyłach mrożące, świetna gra aktorska. Rzeczywiście, wszystko to prawda, nie mogę się jednak oprzeć zdziwieniu, że nikt nie zwrócił uwagi na fragment, który swą wymową podważa wymowę całego filmu.

Chodzi mi o wątek Azji Tuhajbejowicza, akt zemsty na Azji. Okrucieństwo tej sceny przewyższa chyba wszystko co widzieliśmy w najokrutniejszych westernach, w najokrutniejszych filmach — filmach japońskich. Odwet za odwet. Ale zemsta Azji pokazana jest w sposób dyskretny, umiarkowany choć bardzo sugestywny. Akt zemsty na Azji — wbijanie na pal, pokazane jest niemal dokumentalnie, sekunda po sekundzie, minuta po minucie. Nie wiem ile to czasu zajmuje w filmie, mnie się wydawało, że całą wieczność. Struganie pala, Azja wbijany na pal, wreszcie Azja na palu, płonąca, żywa pochodnia.

Przyjrzyjmy się atmosferze, która przygotowuje tę scenę, a która budzi sympatię widza do Azji. Bo Azja jest w gruncie rzeczy postacią sympatyczną. Przyczynia się do tego zarówno znakomita kreacja Daniela Olbrychskiego jak i historia życia jego bohatera. Porwany jako dziecko, znaleziony w stepie, syn królewskiego rodu, traktowany jak pachołek u polskiego szlachcica, skatowany przez niego niemal na śmierć za miłość do jego córki. To raczej polski szlachcic jest w tym układzie niesympatyczny twardy, wyniosły, pyszny. Azja jest piękny, dziki, namiętny, kocha i nienawidzi na śmierć i życie. Mści się jak umie — dziko, namiętnie, okrutnie.

Zemsta młodego szlachcica jest inna. Długo wyczekiwana, przemyślana, pozbawiona elementu namiętności, nagłego porywu. Jest pokazana naturalistycznie, szczegół po szczególe. Mści się pokrzywdzony, ale jego towarzysze, polscy szlachcice, z zimną krwią i skupieniem przyglądają się aktowi zemsty jakby pilnując, by wszystko do końca zostało dokonane.

My, polska widownia wiemy, że scena wierna jest opisowi sienkiewiczowskiemu, choć w wymiarach epickiej narracji powieściowej znajduje inne proporcje niż w filmowym skrócie. My wiemy również, że wbijanie na pal nie było zwyczajem Polaków lecz właśnie Tatarów. Ale jak odbierze tę scenę, rozdętą do nieproporcjonalnych rozmiarów, widz zagraniczny? Do jakich celów propagandowych może być ta scena wykorzystana? Polacy? Aha, to ten naród, który w XVII wieku wbijał swych wrogów na pal i podpalał jeszcze żywych okrutnie, bezlitośnie, sadystycznie.

Ta scena jest nie do przyjęcia. Ona sprawia, że film może stać się argumentem propagandowym w najmniej oczekiwanych sytuacjach. Ta scena budzi grozę, za to nie budzi sympatii do Polaków. Czy naprawdę taka była koncepcja artystyczna realizatorów filmu?

TERESA WOJCIECHOWSKA

— spodnie są w pełnej ofensywie i kto wie, co przyniosą najbliższe miesiące. Francuskie domy mody zapowiadają nowe sensacje!

DLACZEGO LUDZIE SIĘ UBIERAJĄ?

Do dziś nie ucichły spory na temat jak i dlaczego poja wiła się pierwsza odzież. Jedni uczeni utrzymują, iż główną przyczyną odejścia człowieka od nagości była wstydliwość. Inni podkreślają rolę chłodu, który zmusił naszego zahartowanego przodka do okrycia się skórą. Jeszcze inni uważają, że ani wstydliwość, ani chłód, ale chęć upiększania się była inspiracją do wymyślenia ubrania. Są to wszystko hipotezy, a co mówią fakty? W czasach Mickiewicza i Słowackiego, w całej Europie, światowe damy demonstrowały na balach dekolty, które lat temu jeszcze kilkanaście uważano by za bardzo nieprzyzwoite. Dziś, wobec szokujących dekoltów Courregesa, sięgających do pępka, byłyby one kaszką z mlekiem. W owych czasach „spokojnych" dekoltów, jeden z pruskich królów wydał nawet groźny nakaz, aby na spektakle berlińskiej opery wpuszczano wyłącznie tylko te damy, które są głęboko wydekoltowane. Specjalni kontrolerzy skrupulatnie i z ochotą sprawdzali wymiary dekoltów, nie przepuszczając pań, które usiłowały choć ciut-ciut przesłonić górną część piersi. Litościwe garderobiane nie raz dostarczały nożyc, który mi zręcznie podcinano dekolty, iżby srogim przepisom stało się zadość. Jakże by były zgorszone owe damy, a ukontentowany ów pruski władca, naszą współczesną „mini", odkrywającą dziewczęce uda dwadzieścia centymetrów powyżej kolan. Aż strach pomyśleć. Inna rzecz, że i krawcy nie mieli wtedy tyle inicjatywy i fantazji co dziś.

Zmiany w modzie próbowano uzasadniać czynnikami psychologicznymi, a nawet biologicznymi, choć nie można pomijać także przyczyn ekonomicznych, które ponoć odgrywają wcale nie mniejszą rolę. Weźmy, na przykład, długość sukien. Brytyjscy uczeni stwierdzają, ponad wszelką wątpliwość, iż pozostaje ona w ścisłej zależności od koniunktury ekonomicznej. Jeśli jest dobra — spódniczki stają się krótsze, jeśli zła — wydłużają się. Trzeba wierzyć uczonym, tym bardziej, iż zjawisku temu nie mogą nawet zaradzić wskazania zachodnich potentatów mody, którym słono płacą fabrykanci tekstyliów za dyktowanie nowych fasonów damskiego stroju, różnych „mini" i „maxi".

Ale moda, to także wiele niezbędnych „dodatków", które ulegają ciągłym zmianom, podobnie jak nasze życie, w które z wielkim szumem wkroczyła nowoczesność wraz z jej samochodami, samolotami, supersamami, baramiszybkiej obsługi i w ogóle tempem życia. W tym współczesnym modelu świata nie mieści się ani krynolina, ani etola.

MODA I LATA

Specjaliści rozróżniają terminy: strój i ubranie. Strój, to nie tylko spodnie, marynarka, suknia i spódniczka, ale również kolczyki, naszyjniki, obuwie, kapelusze i w ogóle nakrycie głowy, peruki oraz wszelkie możliwe kolorowe znaki na twarzy i na ciele, w tym także tatuaż. Strój ma tę fatalną osobliwość, o czym najlepiej wiedzą nasze miłe i eleganckie panie, a przede wszystkim ich mężowie, że ulega nieustannym zmianom. Moda jest tak samo stara, jak strój. Wiadomo z kronik naszych potomnych, że w starożytnej Grecji i w starożytnym Rzymie moda i gusty zmieniały się tak samo często, jak dziś. Ba, archeolodzy odnajdują ślady „szałowych" kreacji już w epoce kamiennej! Modne, ozdobne muszelki z tropikalnych mórz, osobliwe wzory odzieży, przedziwne fasony nakrycia głowy itp. przenoszą się od plemienia do plemienia, wędrują od równika, aż po koło polarne. Zupełnie jak teraz. Z tą tylko różnicą, że dziś moda wędruje miesiące, a wtedy wędrowała całe wieki, a nieraz i dłużej. Niemniej i wówczas starano się nadążać za jej częstymi kaprysami. Niedocenianie tego faktu — jak to odnotowano w starych kronikach — zrujnowało przed wiekami niejednego europejskiego kupca.

KAPRYSY I NIESPODZIANKI

Wszystkie zmiany w modzie wypływają z trzech źródeł: z przypadku, z kaprysu sprawujących władzę i z dyktatu co znakomitszych kraw ców. Odgrywają tu rolę różne układy, jak byśmy to dziś powiedzieli. Gdy królowi psy poszarpały dół spodni — podwinął je cokolwiek. Dworzanie wnet naśladowali króla. Stąd powstał mankiet u spodni, Bóg wie, ile lat noszony, później głęboko pogardzany, a ostatnio znów przywrócony do łaski. W wiekach średnich modę lansowali król i królowa. W ówczesnej „kolekcji" mody brano pod uwagę wiek króla, jego figurę, gusty królewskich kochanek itp. itd. W zależności od tego albo podkreślano, od powiednim strojem, walory męskości króla, albo to i owo zręcznie tuszowano, modelując miłościwie panującego na wzór i podobieństwo d'Artagnana. Królowa też miała coś do powiedzenia. Jeśli była cokolwiek frywolna, a najczęściej bywała, znajdowało to natychmiast odpowiednik w bardziej swobodnym stroju. Jeśli twarda rygorystka — dworki ubierały się, jak mniszki. W tym samym duchu wywierały wpływ na modę faworyty króla, lansując z polotem stale coś nowego, co królowę-żonę natychmiast wprowadzało na orbitę.

Istnieją jednak fakty świadczące, iż na modę wywierały również wpływ i poważniejsze wydarzenia dziejowe. Uczeni stwierdzili, że istnieje podobieństwo pomiędzy linią starogreckiej tuniki i kształtem przepięknej doryckiej kolumny. Gotyk wprowadza do światka mody napuszone, strzeliste stroje: kobiety noszą u sukien nieprawdopodobnie długie rękawy, mężczyźni — obuwie o przesadnie długich noskach. W latach czterdziestych naszego stulecia widać w strojach pań wyraźne piętno II wojny światowej: prosta spódniczka, prosty w linii żakiet, watowane ramiona, przypominające męski wojenny trencz, bezpretensjonalne obuwie, także kolory.

Ogólnie rzecz ujmując, moda, spełniając nieraz kaprysy możnych ówczesnego świata, a da się to powiedzieć i o współczesności, była posłuszna nie im, lecz przede wszystkim czasom. Na przestrzeni lat, jedna tylko funkcja mody, którą najtrafniej określa przysłowie: „jak cię widzą, tak cię piszą", zaciera się z zawrotną szybkością. Niegdyś strój podkreślał nie tylko bogactwo jego właściciela, lecz również jego pochodzenie socjalne, narodowe, a nawet, w niektórych krajach, stan cywilny. W wiekach średnich prawo regulowało zależność pomiędzy gatunkiem i rodzajem materiału, krojem ubrania i stopniem zamożności. Z biegiem czasu zanikały te facecje. Dziś wszyscy ubierają się przyzwoicie i mniej więcej w tym samym stylu, wyjąwszy oczywiście, snobów, dziwaków, abnegatów i w ogóle wszelkich ekstremistów mody. Huragan europejskiej mody przemknął nad światem, zdobywając kraj po kraju. Dziś, na naszych oczach, podbija kraje Azji i Afryki. I chociaż spodnie, marynarka i suknia nie są niezbędne w tropiku, to jednak faktem jest, że odniosły tam zwycięstwo. Rozsądek nie odgrywa tu roli. Moda jest potęgą. Być może, iż doczekamy czasów masowego nawrotu do starych strojów regionalnych, które zwycięsko oprą się modzie-gościowi z zewnątrz. Na razie, zarówno strój kobiecy, jak i strój męski ewoluują w kierunku prostoty i wygody.

(Wł. Stok.)

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Oklaski dla pań

W uroczej książce Heleny Dunin, zatytułowanej — „Kobieto puchu marny!", można przeczytać wiele zdań i wiele rozdziałów nie najlepiej świadczących o mężczyznach, ich zdolnościach przewidywania przyszłości, nie mówiąc już o zwykłej elegancji. Autorka cytuje m. in. fragment z książki — „Chowanna, czyli system pedagogiki narodowej, wychowania i oświaty, słowem, wykształcenia naszej młodzieży". Autorem tego dzieła był Bronisław Trentowski, nasz pedagog i filozof, a więc niejako chluba rodzaju męskiego w Polszczę. Otóż ta chluba pisała ni mniej ni więcej: na temat kobiet:

„Czynność ducha i samodzielność leżą poza granicami ich przeznaczenia... Kobieta zaniedbująca dzieci swe i gospodarstwo, żyjąca w księgach i rozprawiająca w gronie profesorów, jest zazwyczaj uczoną — krową".

Ze względu na dobro naszej filozofii wstrzymam się od komentarza, za to pragnę podać jeszcze jeden cytat, którym posłużyła się autorka wymienionej wyżej książki. Tym razem chodzi o książeczkę zatytułowaną: „Pod sekretem". Jej podtytuł — „Wycieczka w świat kobiety". A teraz cytat:

„Kobieta nie jest kapłanką domowego ogniska, jest raczej niewolnicą... w marzeniu swojem nie sięga poza obowiązki, a raczej uciechy rodzinnego koła... w życiu rzeczywistym szuka pana, a nie towarzysza. Niezmierna wyższość mężczyzny staje się potrzebą wyobraźni kobiety".

Do interesującej książki p. H. Dunin nie sięgnąłem przypadkowo. Przed tygodniem wręczano nagrody kobietom, które opisywały swoje życie w ciągu ostatniego ćwierćwiecza. Konkurs, z okazji 25-lecia PRL zorganizowały łódzka i wojewódzka Rady Kobiet, a ja miałem przyjemność uczestniczyć w pracach jury. Jeszcze osiemdziesiąt lat temu warszawska publiczność zaśmiewała się do łez, kiedy na scenie teatru ogródkowego występowały kobiety w roli dziennikarek, maszynistek kolejowych, inżynierów, czy też członków palestry. Pamiętnik kobiety ostatniego ćwierćwiecza takich uśmiechów nie wywołuje. Przeciwnie, budzi szacunek i uznanie.

My Polacy lubimy ostatnio pamiętniki, piszemy o fenomenie pamiętnikarskim, niezwykłej poczytności relacji osobistej, wadze przeżyć, doświadczeń człowieka w poznaniu czasów, w których żyjemy. Pamiętnik, wspomnienie, choć przecie siłą rzeczy — subiektywne, zwykliśmy uważać za najbardziej zbliżone do prawdy. To uczucie przebywania w bliskiej odległości od prawdy o naszym życiu, jeżeli nie w niej samej, towarzyszy lekturze pamiętników współczesnej kobiety. Są bardzo autentyczne, szczere i najczęściej pozbawione pewnego specyficznego sprytu, jaki często towarzyszy wielu uczestnikom nieskończonej ilości konkursów, ogłaszanych w naszym kraju. Chodzi mi o pisanie „pod kogoś, co dużo może", pod mecenasa konkursu, pod gusty epoki itp. Czytaliśmy wspomnienia bez sloganów, bez drętwej mowy poza nielicznymi wyjątkami, z kart płynęły zwierzenia nie kłamane, zwierzenia na temat losów kobiety tak bogatych, dramatycznych, że jako pisarz przyznać muszę — nigdy bym nie wymyślił sytuacji, w które uwikłane zostały autorki wspomnień.

Wspomnienia, jeśli tak można ogólnie powiedzieć, dotyczą awansu kobiety. Awans społeczny jest u nas pojęciem już nieco wytartym, kategorią, która rozumie się sama przez się. Po prostu, mamy ludową Polskę, która stwarza każdemu szerokie możliwości. Bywają w naszych czasach filozofowie, którzy twierdzą, że obecnie wystarczy tylko przyjść na świat, a reszta sama się zrobi — żłobek, przedszkole, szkoła jakiej dusza zapragnie, a wszystko za darmo, potem praca, której nie brak. Jakież przeszkody może spotkać człowiek w naszym kraju? Żadne. Może mu co najwyżej zagrażać nuda chadzania z góry utartymi ścieżkami.

Tak jednak nie jest. Mam przed sobą pamiętnik kobiety, która ukończyła politechnikę, szkołę partyjną, Centralny Kurs Normalizacji, kursy języków obcych, aż się wierzyć nie chce. Można by powiedzieć — co za sztuka w Polsce Ludowej, żadna, gdyż wszystko przed nami stoi otworem. Tak, ale uświadomić sobie miejsce, z którego autorka pamiętnika rozpoczynała ów awans — sprawa przedstawi się inaczej. Robotnicza bieda z nędzą, rozpaczliwe poszukiwania pracy, praca w wieku dziewczęcym za marne grosze, samotność z dzieckiem po utracie męża, który z wojny nie powrócił, miesiące i lata pracy nad sobą, troska o dziecko, przyzwoity dom, uporczywe dążenie do zdobycia wiedzy, niezależności — to są z pozoru zwykłe, powiedzialbym typowe dla naszych czasów etapy rozwoju setek tysięcy ludzi. Lecz w doświadczeniu kobiety, która nie rezygnuje, nie może i nie chce rezygnować z funkcji matki, nabiera szczególnego, a niekiedy dramatycznego znaczenia. Pozostaje kobietą z jej znanymi obowiązkami a równocześnie wykonuje dziesiątki innych — zawodowych, politycznych, społecznych.

Warto przypomnieć sobie, że i Polska Ludowa nie była rajem. Uczestniczki konkursu ciągnęły ze spalonych wsi do zniszczonych miast, nie miały w wianie niczego więcej prócz rąk gotowych do pracy. Nim dawna ekspedientka w marnym, mizernym sklepiku wiejskim osiągnie rangę partyjnego aktywisty, nim przezwyciężą wszystkie lęki i niepewności, skończy odpowiednie szkoły, założy dom — upłyną długie lata. Nim nauczycielka z Bałut uzyska dyplom pedagoga, nim będzie mogła rozpocząć pracę w nowej i pięknej szkole, najpierw zobaczy płonący Radogoszcz, przejdzie ciężkie lata w zaimprowizowanych izbach szkolnych, pozbawionych elementarnego nawet wyposażenia. A przecież tej pracy nie porzuci.

Wspomnienia kobiet z pewnością oddają istotę awansu społecznego, jaki dokonał się i dokonuje od 25-ciu lat istnienia PRL. Stanowią bardzo istotny fragment polskiego losu. Ów awans i ów polski los posiadają pewne prawidłowości. Rozumiem je jako powszechne sprawdziany mieszczące się w naszym ogólnym rozwoju. Posiadają jednak swoje imponderabilia, swoje cechy szczególnie, żeby nie powiedzieć — czysto kobiece. A właściwie czemu tego nie powiedzieć?

Literatura pamiętnikarska to w przeważającej części literatura pisana przez mężczyzn. Myślę, że kobiety nie mniej mają do przekazania. Może dlatego, że w gruncie rzeczy więcej im przychodzi łamać barier obyczajowych, więcej wypada przełamywać tradycyjnych nawyków? Na pewno tak. Ale i z innego względu. Zyskują nowe możliwości, uprawiają dziś rozmaite zawody, właśnie kierują maszynami, zasiadają w palestrze, stają na czele zakładów pracy, niekiedy bardzo nowoczesnych i skomplikowanych, słowem dorównują mężczyźnie. Zyskując jednak nowe możliwości nie pozbywają się starych jak świat obowiązków — matki, organizatorki rodzinnego życia.

Konkurs łódzki na wspomnienia kobiet, obejmujące 25 lat PRL przyniósł dobre wyniki. Plon jest obfity, starczy go w każdym razie na książkę, która w istotny sposób wzbogaci nasze pamiętnikarstwo.

Od Redakcji: w jednym z najbliższych numerów „Odgłosów" ogłosimy fragmenty niektórych prac nagrodzonych w konkursie na wspomnienia kobiet.

Książki nadesłane

Zygmunt Kaczkowski „Anunciata tom I—II. Wyd. Liter. K-ów zł 45,—

Stefan Otwinowski „Okoliczność łagodząca: Wydawn. Liter. K-ów zł 12,—

Maria Konopnicka „Publicystyka literacka i społeczna". CZYTELNIK W-wa zł 40,—

Maria Mrozowicz-Szczepkowska „Z lotu ptaka" PIW zł 50,—

Zbigniew Szacherski „Wierni przysiędze" PAX zł 45.

Spektakle tygodnia

Teatry	Spektakle	Widzów	Procent
WIELKI			
— „Zemsta nietoperza"	1	1250	100
— „Pan Twardowski"	1	1100	88
— „Cyrulik sewilski"	1	1260	100
— „Jezioro łabędzie"	1	1000	80
— „Tosca"	1	1180	85
— „Kniaź Igor"	1	1260	100
NOWY			
— „Dziś do ciebie przyjść nie mogę"	5	3500	100
— „Żeglarz"	1	700	100
— „Rewizor"	1	540	90
NOWY Mała Sala			
— „Księżyc świeci nieszczęśliwym"	3	600	100
— „Bliski nieznajomy"	3	480	80
JARACZA			
— „Wesele"	3	1476	78
— „Każdy kocha Opalę"	2	1088	86
7.15			
— „Znamy cię tylko z widzenia"	3	1191	94
— „O krasnoludkach i sierotce Marysi"	3	1266	100
POWSZECHNY			
— „Taniec śmierci"	1	660	100
— „Kawior i kaszanka"	2	1300	99
— „Czarna komedia"	1	660	100
TZŁ			
— „Fircyk w zalotach"	6	1579	100
— „Psy"	4	806	21
OPERETKA			
— „Turniej w Rio de Maracasso"	6	5762	86

TELE-OBIEKTYW

SAŁATKA FIRMOWA

Przeważnie piszę T—O na jeden temat, ale od czasu do czasu nazbiera się trochę drobiazgów, z którymi nie ma co robić. Poświęcić im cały felieton — za dużo. Pominąć je milczeniem — to tłuką się gdzieś po zakamarkach pamięci i fermentują. Trzeba je z siebie wyrzucić. Dziś właśnie taki dzień upłynniania remanentów. Kto chce niech czyta!

*

Gdy piszę te słowa, zaczęła się właśnie przerwa świąteczna w szkołach i wystartowały tradycyjne już Tele-Ferie. Przyznam się, że choć stary koń, sam chętnie oglądam czasem te bloki programowe dla najmłodszych. Prowadzą je mili młodzi ludzie. Towarzystwo Zagadkowe Poranne, Towarzystwo Zagadkowe Wieczorne, szlachetna rywalizacja między obu zespołami, jakiś tajemniczy cień na ekranie, wydający rozkazy „Czarnej Ręce"...

Wszystko to jest sympatyczne i wyraźnie grawituje ku nowoczesnym metodom pedagogicznym. A u nas w pedagogice tak wciąż pachnie starzyzną!

Ale w związku z Tele-Feriami nasunęło mi się parę refleksji ściśle telewizyjnych. Otóż zastanawiałem się, w czym tkwi główna siła atrakcyjności wspomnianych programów. I znalazłem odpowiedź: w przeciwieństwie do lwiej części programu TV są to odcinki czasowe REDAGOWANE. Tak, redagowane! Ktoś w tym odcinku czasu czuje się gospodarzem, stara się go atrakcyjnić.

A z większością programu to jest tak: dzieli się dzienny czas emisji jak angielkę na plasterki (proszę mi wybaczyć tę nieprecyzyjną przenośnię!), przydziela różnym redakcjom, pracującym na zasadzie „nie wie lewica, co robi prawica" i leci potem taki program ciurkiem, zapowiadany przez zawodowych spikerów, którzy najczęściej do anonsowanych pozycji nie mają żadnego stosunku.

Stanowczo jestem za tworzeniem większych bloków programowych, w których ktoś czułby się odpowiedzialny, ktoś by koordynował! Na przykład można by powołać zespoły redagujące program w poszczególne dni tygodnia.

*

Jubileuszowa Giełda Piosenki prowadzona przez Krzysztofa T. Toeplitza w asyście Edyty Wojtczak zasługuje także na pozytywną wzmiankę. Dostało się tam trochę naszej rodzimej twórczości piosenkarskiej.

Za pisanie piosenek wziął się u nas kto żyw. Wiadomo: dobry interes! Jeśli piosenka stanie się szlagierem, można na niej zarobić więcej niż za napisanie powieści, a dwa razy więcej niż za książeczkę naukową. W tej dziedzinie lekkiej Muzy niepotrzebne wykształcenie, kompetencja, talent. Ceni się raczej spryt, tupet i chody.

Może częściej przydałoby się potraktować twórczość piosenkarską satyrycznie, wykpić to, co trąci amatorszczyzną i złym smakiem!

*

Całkowicie zgadzam się z oceną widowiska TV „Dokąd wiodą te drogi" zamieszczoną w „Dzienniku Łódzkim" z dnia 2 bm. Najsłabszą stroną spektaklu był poziom dramaturgiczny sztuki Gustawa Kolińskiego. Aktorzy, reżyser, scenograf włożyli wiele rzetelnego wysiłku. Tematyka spektaklu jak najbardziej godna poparcia. Ale...

Zastanawiam się nad tym, że tekst Kolińskiego ktoś przedtem czytał, ktoś zatwierdzał. Czy nie zastosowano aby jakiejś taryfy ulgowej? Przecież w sztuce Kolińskiego jest wiele zadatków na rzecz wartościową. Autor mógłby ją poprawić dopracować. A tak, poszło na antenę i pozostawiło niedosyt.

*

Wciąż jeszcze nie wykrystalizował się profil filmów wychodzących z Zakładu Produkcji Filmów Telewizyjnych. Chciałoby się w placówce tej widzieć czynnik wiodący w stosunku do zespołów realizujących filmy TV. Tymczasem nieraz z ZPFT wychodzą dziwolągi, świadczące, że autorzy nie bardzo chodzą po ziemi.

Przed niewielu tygodniami pojawił się na ekranie taki potworek zrealizowany przez reżysera Cziciszwili. Tytuł wypadł mi z pamięci, ale to nieważne. Rzecz dzieje się na plaży. Realizator zastosował wszelkie możliwe chwyty techniczne: stół trickowy, kaszetowanie w pion, kaszetowanie w poziom, gwałtowne najazdy transfokatorem. Słowem użyto wszystkiego, czym nasza technika filmowa bogata (a raczej biedna).

Wszelkie chwyty filmowe są dozwolone. Trzeba tylko wiedzieć, czemu one mają służyć. Wspomniany filmik był absolutnie pusty w sensie treściowym. Uznać go można co najwyżej za etiudę studencką, za wypróbowywanie środków technicznych. Zgodał Tylko po co mieszać do tego kilka milionów widzów?

*

I tyle na dziś, jak zwykł mówić Wicherek, który ma zwyczaj patrzeć optymistycznie w przyszłość. Patrzmy!

Władysław Orłowski

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Nazwiska Cesare Zavattiniego i Vittoria de Siki firmowały niegdyś najwybitniejsze dzieła włoskiego neorealizmu, a wśród nich „Dzieci ulicy", „Złodzieje rowerów", „Cud w Mediolanie", „Umberto D", a więc niezapomniane karty historii kina, filmy odkrywające nowe możliwości i nowe funkcje najpowszechniejszej ze sztuk. Później przyszły czasy wspólnej pracy nad filmami: „Matka i córka", „Więźniowie z Altony", „Wczoraj, dziś, jutro". Dla widzów to czasy uznania dla zawsze świetnego rzemiosła i żalu za bezpowrotnie minioną pasją poszukiwań i działania.

Te filmy przygotowały nas niejako do tego, że bez większego zdumienia odnajdujemy na liście twórców filmu „SIEDEM RAZY KOBIETA" nazwiska Zavattiniego i de Siki, panów, którzy nawojowawszy się w swym życiu dosyć od wielu lat są na uroczym urlopie, wynikiem którego jest między innymi ta świetna dla widzów zabawa w postaci siedmiu kobiecych portretów. Wynikiem tego urlopu jest jednakże również fakt, że właściwie nie trzeba już mówić o filmie Zavattiniego i de Siki, można i trzeba mówić o filmie Shirley Mac Laine, głównej sprawczyni sukcesu filmu. „Siedem razy kobieta" to recital aktorski tej najbardziej uroczej i piekielnie utalentowanej gwiazdy Hollywoodu. Oglądając siedem wcieleń, siedem kobietek trudno chwilami uwierzyć, że wszystkie one to rzeczywiście Shirley Mac Laine. Mac Laine jest brzydka i piękna, gra kopciuszka i damę z beau mondu, jest liryczna i perwersyjna, nieśmiała i przebiegła, wyczekująca i atakująca, jest zwielokrotnieniem tego co zwiemy wieczną kobiecością. Shirley króluje na ekranie, lecz uosabiając kobiecość spełnia w uroczy sposób jeden z jej warunków. Nie stara się swym blaskiem usunąć w cień partnerów, a są wśród nich znakomici: Peter Sellers, Vittorio Gassman, Philippe Noiret i inni. Nie stara się, więc wynik ostateczny ją rozgrzesza.

Siedem wcieleń Shirley to siedem kobiecych światów, które przyznać trzeba, dwaj starsi panowie poznali na wskroś. Ta dogłębna znajomość tematu znakomicie ułatwia wykorzystanie pełnego arsenału środków, by światek kobiecy obdarzyć starannie wyważonymi porcjami atrakcji. Szczypty pikanterii, pełnej wyrozumiałości ironii, dowcipu i liryki znakomicie przyrządzonemu daniu nadają smak miły zarówno damskim jak i męskim podniebieniom.

Polacy mają Józefa I. Kraszewskiego, bracia Węgrzy Mer Jokaia. Obaj ci dziewiętnastowieczni pisarze zaimponowali potomnym niezwykłą pisarską płodnością, obaj pozostawili książki, w których obrazy obyczajowe, wątki romansowe i intrygi zostały rzucone na szerokie tło historyczne.

Książki Jokaia doczekały się na Węgrzech wielu adaptacji. Ekranizacje dwóch najpoczytniejszych powieści Jokaia „WĘGIERSKI MAGNAT" i „ZOLTAN KARPATHY" w reżyserii Zoltana Varkonyi wchodzą obecnie na nasze ekrany. Zrealizowano je w konwencji wielkiego widowiska historycznego, którego głównym zadaniem było odtworzenie kolorytu epoki lat dwudziestych i trzydziestych XIX wieku.

Dzieje magnackiego rodu Karpathych są w książce Jokaia i w filmie świadectwem czasów współczesnych pisarzowi. Jokai, wychowany w romantycznym duchu żołnierz-Petófiego później jako pisarz-realista pozostał wierny swym społecznym poglądom. Toteż w barwnym świecie jego powieści, a obecnie filmu znajdujemy nie tylko bogate obrazy obyczajowe nasycone dużą porcją krytycyzmu ale i galerię postaci, które miały reprezentować wysokie walory moralne i postępową orientację, której postulaty miały ratować społeczeństwo węgierskie przed ostateczną klęską wynarodowienia.

Ekranizację powieści Jokaia ogląda się jednak z mieszanymi uczuciami. Niewątpliwie imponować może bogactwo obrazu obyczajowego. Celowi temu służą w filmie bogate dekoracje, z pietyzmem odtworzone kostiumy, dbałość o szczegóły obyczajowe, z rozmachem zrealizowane sceny zbiorowe. Zaciążyła jednak na tym wszystkim ciężka ręka adaptatora. Prawdopodobnie szacunek dla literackiego tekstu nie pozwolił na skróty, na pewną eliminację szczegółów. W efekcie, pełne temperamentu partie filmu rozpływają się w przesadnie drobiazgowym opisie innych sytuacji. Niezdecydowanie w wyborze prymitywna często ilustracyjność tekstu łamie linię dramaturgiczną filmu. Opowieść staje się nudna, postacie, które nie mogą już błyszczeć dawnym blaskiem nie doczekały się ani większej ekspresji, ani, choćby dla przeciwieństwa, większego dystansu.

Filmy Z. Varkonyi będąc na pewno jednym z większych przedsięwzięć produkcyjnych węgierskiej kinematografii nie zdołały pokonać trudów adaptacyjnych, niemniej jak wiele widowisk historyczno-obyczajowych mogą liczyć na powodzenie u publiczności. Ale tu mała uwaga: czyż dla celów reklamowych nie należałoby drugiej, dość samodzielnej, części filmu obdarzyć bardziej „chwytliwym" tytułem; „Zoltan Karpathy" doprawdy nic nie mówi polskiemu widzowi.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

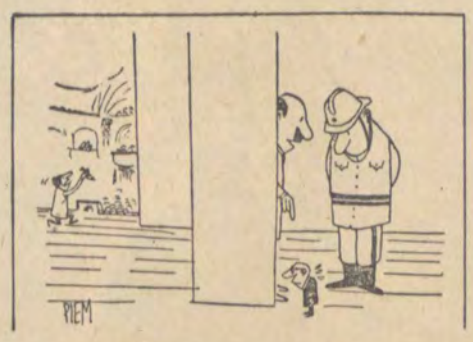

— To jest autor. Zrobił się taki malutki

(„Le Figaro")

ACH, TA TREMA

● Każdy z dramaturgów przeżywa chwile wielkiej emocji, kiedy jego sztuka po raz pierwszy grana jest na scenie i każdy z nich w jakiś inny sposób przejawia tę tremę. Philippe Bouvard w dzienniku „Le Figaro" spróbował scharakteryzować zachowanie się najwybitniejszych dramaturgów współczesnych we Francji, w chwilach ich niezwykłych emocji „premierowych".

I tak Armand Salacrou udaje się spokojnie (to tylko on sam tak twierdzi) do kina. Ale kiedy zbliża się czas ostatniego aktu jego premiery, opuszcza kino i idzie do bistra. Tam oczekuje swych przyjaciół, którzy biegając od bistra do teatru i z teatru do bistra przynoszą mu komunikaty o reakcji publiczności na nową sztukę.

Jean Anouilh, mimo znacznego podniecenia, zachowuje się bardzo spokojnie, niezależnie od powodzenia czy niepowodzenia premiery, ale nie bierze udziału w tradycyjnej kolacji urządzanej na cześć autora. Za to po kilku dniach ożywia się, co głównie przejawia się u niego w rzucaniu gromów na recenzentów i dziennikarzy. Nie cierpi wywiadów prasowych i twierdzi, że czuje się jakby brał udział w corridzie, gdzie on sam jest bykiem skazanym na zabicie.

Marcel Achard przygląda się premierze, umieszczając się w miejscu skąd widzi scenę, sam zaś nie jest widziany przez publiczność. Denerwuje się już na dwa dni przed premierą i w tym czasie nic prawie nie jada. Daw niej słynny reżyser Jouvet zamykał go w swoim gabinecie, bojąc się, że trema autora udzielić się może aktorom.

Henry de Montherlant nigdy nie pokazuje się publicznie podczas premiery. Nigdy też na swej premierze nie zjawia się Ionesco. Wysyła na nią żonę, sam zaś ogląda telewizję lub rozwiązuje krzyżówki. Dopiero koło północy, kiedy wie, że sztuka dobiega końca, zrzuca domowy szlafrok, przebiera się i udaje się na spotkanie z żoną, aby jak najszybciej dowiedzieć się o tym jak jego dzieło zostało przyjęte przez publiczność.

Marcel Pagnol jest bardzo przesądny i w przededniu generalnej próby nie dotyka zielonych przedmiotów. Kolację zjada w bistro w pobliżu teatru, oczekując na przyjaciół, którzy zjawiają się po każdym akcie sztuki, przynosząc wieści wprost z widowni. Recenzje czyta — jak twierdzi jego żona — dopiero po kilku dniach.

Również nie wcześniej jak po tygodniu czyta recenzje swych sztuk premierowych Jacques Deval. W dniu, w którym ma być premiera, wsiada on do samolotu, aby odbyć jedną ze swych licznych podróży. Twierdzi, że właściwie nic go nie obchodzi czy sztuka ma powodzenie, czy też nie. Mówi, że odkąd zakończył jej pisanie, więcej już się nią nie interesuje, ma dla niej uczucie takie jakie mogłaby mieć grusza do swego dojrzałego owocu, który z niej opadł.

Najbardziej denerwuje się na premierze Marcel Mithois. Trzęsie się do tego stopnia przed podniesieniem kurtyny, że pracownicy teatru, w obawie, aby nie zdenerwował wszystkich, obalają go na ziemię, wpychają mu w usta środki uspokajające i wlewają do gardła porządny łyk whisky. Autor ten jest tak zabobonny, że na premierę pojawia się niosąc z sobą amulety, jak kawałek szafiru, małe przedmioty ze złota itp.

OWANNES TUMANIAN

● Owannes Tumanian (1869—1923) uchodzi za jednego z najwybitniejszych poetów ormiańskich. Ostatnio Armeńska SRR uroczyście obchodziła

Z grafiki ormiańskiej. Linoryt D. M. Mulid-Sade. 1964.

setną rocznicę urodzin tego wielkiego pisarza.

Owannes Tumanian przed Rewolucją Październikową wyrażał w swej twórczości protest przeciw uciskowi i despotyzmowi, zwalczał ustrój burżuazyjny i żarliwie głosił idee przyjaźni między narodami. W swych pieśniach i poematach dał wyraz ciężkiej doli chłopskiej biedoty wyzyskiwanej przez kułaków i chciwych kupców. Toteż w czasie Wielkiej Rewolucji opowiedział się całkowicie po jej stronie.

Owannes Tumanian w swych pieśniach i poematach nawiązywał wielokrotnie do legend i podań o narodowych bohaterach Armenii. Do najznakomitszych utworów poety należą m. in. „Sako Lorijski", „Dawid Sasuński" i „Anusz". Zwłaszcza w tym ostatnim poemacie Tumanian przedstawił różnorodność typów wiejskich, ich przesądy, obyczaje, odmalował barwność świątecznych obchodów wiejskich w Armenii. Ponadto Owannes Tumanian był tłumaczem. Przekładał utwory Puszkina, Lermontowa, Niekrasowa.

KSIĄŻKI BRACI GRIMM

● Od blisko stu pięćdziesięciu lat bajki braci Grimm cieszą się niesłabnącym powodzeniem w wielu krajach u czytelników, tak najmłodszych jak i starszych. Jakob (1785—1863) i Wilhelm (1786—1859) Grimm wydali słynne bajki oparte na motywach podań ludowych. Są też autorami m. in. „Deutsche Sagen" (Sagi niemieckie).

Obydwaj bracia mają ogromne zasługi w dziedzinie filologii. Są oni bowiem twórcami germanistyki jako nauki o języku i literaturze. Napisali „Gramatykę niemiecką", „Historię niemieckiej mowy" i „Słownik niemiecki".

Ostatnio w Bautzen w NRD otwarta została wystawa książek braci Grimm, na której eksponowano przeróżne wydania bajek od pierwszego w roku 1812, do naszych dni.

OD DÜRERA DO PICASSA

● W leningradzkim Ermitażu, jednym z najbogatszych muzeów świata, znajduje się m. in. kolekcja rysunków artystów zachodnioeuropejskich i japońskich. Kolekcja ta liczy ok. 40 tys. dzieł. Siedemdziesiąt sześć spośród nich to rysunki słynnych mistrzów malarstwa europejskiego od XV wieku do naszych dni. Rysunki z Ermitażu zostały niedawno pokazane na wystawie moskiewskiej zatytułowanej „Od Dürera do Picassa". Znalazły się tu pierwsze rzuty przyszłych, nieraz bardzo znanych obrazów lub fresków, szkice z natury pomagające danemu artyście uchwycić właściwą kompozycję i rozplanowanie mającego powstać obrazu oraz rysunki będące wykończonymi, samoistnymi dziełami jak np. „Kuszenie św. Antoniego" Jacquesa Callot.

Jean-Baptiste Greuze: „Młoda kobieta siedząca w fotelu".

Częstokroć rysunki odbiegają od znanego stylu danego twórcy. I tak np. „Młoda kobieta siedząca w fotelu" Jean-Baptiste'a Greuze'a (1725—1805) różni się od malarskich dzieł tego artysty przedstawiającego zazwyczaj sentymentalne sceny rodzajowe.

JUŻ ZA TYDZIEŃ
w „ODGŁOSACH":

— Powojenne pamiętniki kobiet

— Dzwon dla Zduńskiej Woli

— Przypowieść o wiejskim klubie

— Klub samobójców

— Dokończenie noweli kryminalnej

Od niedzieli do niedzieli

Z CZEGO ŚMIAŁ SIĘ ŚWIAT

JOHNSON — REKORDZISTA — KTO SIĘ SMAŻY W KOTLE? — DE GAULLE LUBI ZŁOTO — GDZIE MIEJSCE CZŁOWIEKA? — ŁODZIANIE W MONTREALU — NIE DO ŚMIECHU NAM

Już piąty rok w Montrealu otwiera podwoje Pavillon de l'humour terre des hommes — światowa wystawa karykatury i rysunków satyrycznych. Montreal daleko od Łodzi i może nie byłoby specjalnego powodu do pisania o tym, gdyby nie fakt godny odnotowania. Otóż Polskę reprezentowało na tej wystawie siedmiu rysowników — w tym trzech z Łodzi — Karol Baraniecki, Kazimierz Mozolewski i Józef Skonieczny. Trudno pominąć milczeniem tego rodzaju wyróżnienie — postarałem się zatem o album z wystawy, aby całej sprawie nieco bliżej się przyjrzeć. Bo to przecież ciekawe — z czego świat się śmiał w roku 1968. Jakie sprawy nurtowały rysowników 60 państw, co uznali satyrycy i humoryści za godne wykpienia i ośmieszenia...

Z czego **śmiał się** świat? To smutne, **ale** ów pięknie wydany **album** zawierający kilkaset rysunków wcale nie nastraja **do śmiechu**. Jest natomiast odbiciem tych wszystkich przerażeń i strachów, politycznych posunięć i gestów, których świadkiem był miniony rok.

Właściwie nie ma istotnej, ważnej dla naszego globu sprawy, którą by pominięto w tym przeglądzie światowej satyry. Z montrealskiej wystawy wynika jednak, że na czelną sprawą był Wietnam. Dziesiątki rysunków poświęcono właśnie amerykańskiej agresji w tym kraju i wcale nieprzypadkowo I nagrodę otrzymał Meksykanin Eduardo del Rio za rysunek o tej tematyce. Widnieje na nim amerykański żołnierz dźwigający na sobie cały bagaż cywilizacji i potęgi gospodarczej — rakiety, banki, wspaniałe budowle, nowoczesną broń... A naprzeciw stoi maleńki Wietnamczyk.

Także amerykańscy rysownicy przysłali prace „wietnamskie". Ale charakterystyczne — u nich jest to Johnson wrzucający szuflą żołnierzy do otwartej paszczy boga wojny — Marsa; Johnson strzelający jak Wilhelm Tell do jabłka z napisem Wietnam, strzelający i pudłujący... Amerykanie nie atakują Johnsona za rozpętanie brudnej wojny — oni go atakują, bo tej wojny nie potrafił wygrać.

Zabawiłem się w buchaltera i obliczyłem, że były prezydent USA miał u satyryków wszystkich krajów największe powodzenie. Ponad 50 rysunków poświęcono mu na montrealskiej wystawie — podczas gdy de Gaulle'owi tylki 35. Prezydenta Francji najchętniej oczywiście rysowali Amerykanie i Anglicy. Pierwsi nie mogli mu darować ubiegłorocznej „afery" z wycofywaniem amerykańskiego złota i rysowali go jako oblesnego starca obcałowującego złote sztabki, bądź jako mielerowskiego Harpagona zgarniającego złote dolary... Anglicy natomiast nie mogli mu darować stanowiska w sprawie przyjęcia Wielkiej Brytanii do Wspólnego Rynku i u nich de Gaulle jest na przykład złowieszczym świętym Mikołajem, wrzucającym do komina angielskiego domu bombę zamiast świątecznego podarku. Ale w albumie montrealskiej wystawy jest także de Gaulle inny — takim jakim go widzą Francuzi, ze swoimi śmiesznostkami i manią wielkości — zaczynający wieczorną modlitwę do Boga słowami „Drogi kolego"...

Jeszcze jednak słowo o Johnsonie. Najlepszą karykaturą ilustrującą tym razem stosunki wewnątrzamerykańskie, ściślej konflikt murzyński jest znakomite odwrócenie sytuacji ze znanych dowcipów o lu dożercach. Na rysunku widnieje czarny Amerykanin gotujący się w kotle, którego pilnuje Johnson w stroju murzyńskiego szamana.

Świat w roku ubiegłym nie żył tylko polityką — były sprawy kontroli urodzin, mody, przeszczepienia serca — wszystko to znajdziemy na planszach rysowników. Świat żyje w przerażeniu postępującą cywilizacją, która niesie nie tylko samo dobro. Jugo słowiański rysownik widzi to tak: na pierwszym rysunku ogromne drzewa, wśród nich maleńka chatka. Na drugim rysunku ogromne wieżowce — wśród nich maleńkie drzewko. Gdzie miejsce człowieka w coraz bardziej zmniejszającym się świecie? Wśród coraz większej liczby zakazów? Rysownik widzi to tak: rozbitek dopływa do brzegu. Na morzu kołysze się boja z napisem „Pływanie wzbronione". Na brzegu widnieje napis „Wstęp wzbroniony".

A jak wypadli łódzcy satyrycy na tym światowym tle? Baraniecki narysował Nowy Rok 1968, stojący w wirującym kręgu armat, samolotów, zabawek i instrumentów, z pytaniem „W co się bawić?". Skonieczny narysował bombę atomową na której mały człowieczek napisał: „prosimy o ciszę". Właśnie! Żeby nigdy nie wybuchła, żeby nie detonowała z tragicznym dla całego świata hukiem... Mozolewski pozostał wierny swojej obyczajowej tematyce — bardzo zresztą skromnie reprezentowanej w Montrealu. Świat bowiem ma ważniejsze kłopoty. Świetny jest także rysunek Zbigniewa Jujki z Gdańska, oparty na znanym w Polsce dowcipie. Jujka nadał mu jednak cechy uniwersalne. Jest zatem trzech więźniów. Jeden trzyma portret z podpisem „Precz" — drugi ten sam portret z podpisem „Niech żyje". Trzecim więźniem jest... ów człowiek z portretu.

Długo by tak można opowiadać owe rysowane dowcipy — jest ich przecież w albumie kilkaset. Choćbym jednak opowiedział od początku do końca — nie odpowiem na pytanie „z czego śmiał się świat". Bo nie jest to kronika „do śmiechu" — do zadumy raczej, do refleksji a czasem do płaczu.

JERZY WIDOK

Bez strachu

BRATERSTWO

Wszyscy ludzie są braćmi (i siostrami — nie wolno zapominać o siostrach) tego nauczono nas w szkole to elementarna zasada uniwersalnego humanizmu... Otóż obok tego podstawowego, najszerszego braterstwa istnieją braterstwa ściślejsze i węższe obejmujące pewne kategorie, pewne grupy ludzi. Otóż każda z tych grup braterskich posiada pewne wyróżniające cechy spajające — czy na przykład wszyscy ludzie są braćmi, ale braćmi w węższym intensywniejszym znaczeniu są listonosze, kominiarze, producenci i sprzedawcy pocztówek. To grupy braterstwa zawodowego — jedną z takich grup są niewątpliwie literaci, którzy miłują się nawzajem bezgranicznie. Niekiedy istnieją ściślejsze lepiszcza braterstwa od zawodowych, sam znałem kiedyś grupę złożoną z literata, listonosza i kominiarza — nic ich nie mogło rozłączyć, razem pili wódkę, razem nosili listy, chodzili po dachach i wspólni pisali książki. Oddzielną grupę braterstwa stanowią starcy, którzy społem leżąc na piecu gawędzą o przeszłości — otóż kiedyś do tej grupy przyłączył się pewien bardzo młody i bardzo leniwy człowiek — leżał razem ze starcami na piecu i opowiadał niestworzone rzeczy — starcy i tak go nie rozumieli, nie rozumieli także przemawiających starców byli bowiem kompletnie głusi i pilnie zajęci ukrywaniem własnej głuchoty. Kiwali zatem głowami, domyślając się po ruchach warg, że ktoś coś mówi, a potem znowu sami mówili i inni głusi starcy kiwali potwierdzająco głowami nic nie rozumiejąc. Była to miła i pożyteczna zabawa w ludzi.

Leniwy, młody człowiek siedział sobie w cieple, wszystko rozumiał, wszystko słyszał i było mu tak miło jak tym, którzy nic nie rozumieli i nie słyszeli. Ten kto rozumie wszystko, podobny jest do tych, którzy nie rozumieją niczego. Prawdziwa wiedza polega na rozumieniu cząstkowym i na napędzie do zrozumienia tego co jeszcze nie zostało zrozumiałe. Wiedza kompletna — to śmierć danej dyscypliny poznawczej. Znałem grupy braterskie złożone z ludzi i zwierząt. Są mieszkania, w których siłą kierowniczą mieszkańców są koty i psy. Braterstwo człowieka z małpą, braterstwo człowieka z kanarkiem... Gołębie są braćmi gołębiarza, braćmi grabarza są umarli. Istnieje braterstwo nienawistne, braterstwo tyrana. Znałem dwóch ludzi, którzy lżyli się nawzajem, montowali przeciw sobie najdziksze intrygi — otóż kiedy jeden z nich opuścił nasze miasto drugi płakał, płakał też ów odjeżdżający. Wspólnota w nienawiści nie jest mniejsza, niż wspólnota przyjaźni. Co do mnie kocham i nienawidzę — wystarczy abym kogoś zobaczył, abym usłyszał jego głos... Gdzie jesteście moi obojętni, czekam was, nigdy was nie widziałem. Żywo odczuwam nawet tych, którzy stoją przede mną w sklepowej kolejce. Wszystkie znajome psy są moimi przyjaciółmi, lub wrogami, podobnie koty. Istnieją nienawistne lub uwielbiane kamienie, podwórza, za którymi tęsknię i od których uciekam. Braterskie ulice i wrogie ulice — wiatry przyjazne i nieprzyjazne. Napięty dramat ludzkiego i pozaludzkiego świata intensywnia życie, kładzie kres wszelkiej nudzie — jest miłość i nienawiść, która przetrwa istnienie miłującego i nienawidzącego człowieka.

BERNARD SZTAJNERT

TOMASZ KYD

SAD NAJ WYŻ SZY

Wszystko było wyłożone skórą i mahoniem, utrzymane w nowoczesnych funkcjonalnych liniach — nowoczesne, lecz bezpieczne. Taka była myśl przewodnia — bezpieczeństwo

— Państwo pozostaną na miejscu?

Transoceaniczna furażerka, błękitna z białym naszyciem, siedziała jej zgrabnie na czubku głowy. W oczach miała błysk zatroskania o powierzone jej stadko.

Niski mężczyzna uśmiechnął się.

— Ależ się nami zajmują!

— Obsługa — zauważył wysoki — wydaje się bardzo dobra.

Poprzez drzwi z fotokomórką wśliznął się ktoś spóźniony. Teraz byli w komplecie — dziesięciu pasażerów z Nowego Jorku do Londynu, dwóch pasażerów z tego na tamten świat...

— Na tego pana widocznie czekała — powiedział niski mężczyzna. Wysoki nie odezwał się, lecz dokładnie obejrzał ostatniego przybysza. Przysadzisty, o okrągłych policzkach, w oczach malowało się nerwowe napięcie. Z niechęcią spojrzał na ponurego młodego człowieka, siedzącego przy oknie. Następnie przyjrzał się czterem mężczyznom, siedzącym na sąsiadujących fotelach, gdzie nawiązana już była swobodna, wesoła rozmowa. Zdumienie, gorycz, nawet coś jakby strach pojawiły się w jego twarzy.

— Czy któryś z panów mógłby dać mi znaczek? — zwrócił się do wysokiego mężczyzny — tak się spieszyłem wychodząc z biura, że...

— Niech pan pozwoli — stewardessa niemal wyrwała mu kopertę z ręki — Pan jest chyba panem Lecky?

— Tak jest. Ledwie zdążyłem, prawda?

— I tak mamy trochę opóźnienia, pora odlotu właściwie już minęła

— Tak to jest gdy się podróżuje samolotami — zauważył niski mężczyzna. — Niech pan patrzy, ci czterej już zdążyli się zaznajomić. Możebyśmy zagrali w coś?

— Nie gram w karty — odpowiedział szorstko wysoki pan — mam ze sobą szachy, ale pewnie nikt z was nie umie grać.

W tej chwili w drzwiach ukazał się jasnogranatowy mundur stewarda. Zawiadomienie było uprzejme, lecz zwięzłe: „Lot 300, Nowy York-London przełożony na godzinę 16. Wobec małego obciążenia lecimy wprost do Shannon, omijając Gander. W tej chwili uzupełniamy paliwo i przygotowujemy nowy plan lotu. Dziękuję".

Przez okno widać było, jak do samolotu Constallation podjeżdża cysterna z paliwem

— Daleki skok — zauważył niski mężczyzna.

— Jest nas tylko garstka pasażerów na pięćdziesięcioosobowy samolot — powiedział Lecky — a ja tak się bałem, że nie będzie wolnego miejsca, że zarezerwowałem swoje miesiąc temu, pierwszego lipca na pierwszego sierpnia.

— I ja tak samo — odezwał się niski — nawet wcześniej, bo trzydziestego czerwca. To przez wypadek nad Miami, przez pewien czas ludzie boją się lecieć.

— Panowie — wtrącił się wysoki mężczyzna — będziemy razem jeszcze przez godzinę tu na ziemi, a potem do jutra rana w powietrzu. Mówi się, że Amerykanie nie czują się dobrze, jeżeli nie znają wzajemnie swego zawodu i dochodów. Mego dochodu nie ujawnię. Z zawodu jestem specjalistą od stosowania metod statystycznych.

— Jedzie pan odwiedzić klienta?

— Nie, moi klienci przyjeżdżają do mnie. Jadę do Londynu, wygłoszę tam odczyt. Moje nazwisko jest doktor Andrzej One.

— Ja nazywam się Cramp. Oskar Cramp — powiedział niski pan.

— Moje nazwisko już znacie — Lecky, z firmy Armstrong i Lecky, wyposażenie optyczne. Wzrok mówiącego spoczął najpierw na jednym z czterech zagłębionych w rozmowie mężczyzn, następnie zatrzymał się na samotnym pasażerze przy oknie. — Jadę w celu złożenia oferty dla zakładów Witherspoon i Spółka, które mają się unowocześnić.

— Ja pracuję dla galerii sztuki La Scala — powiedział Cramp — Jadę aby obejrzeć miniatury w muzeum Victoria i Albert.

— Ja też tam zajrzę — ożywił się doktor One. — Ucieszyłem się czytając wczoraj w gazecie, że wystawa będzie przedłużona na sierpień.

Ale nigdy bym nie pomyślał, że pan jest znawcą sztuki.

— Jadę w celu oszacowania tych miniatur. Będą tam dzieła Hilliarda i Olivera, co pozwoli na porównanie ich stylów. Ofierowano nam dwa Hilliardy za 20.000 dolarów. Jeżeli to naprawdę są Hilliardy, a nie Olivery, to są warte 50 tysięcy.

— I jeżeli są warte pięćdziesiąt, to wy zapłacicie dwadzieścia.

— No, doktorze, zostały nam zaoferowane jako Hilliardy. Czy to zbrodnia, jeżeli się uczciwie coś zarobi?

— Nie — odpowiedział doktor One — nie jest to zbrodnia. Rozejrzał się dokoła, po czym dodał. — Nasi współtowarzysze nie są interesujący. Tych czterech jedzie zapewne, aby coś zarobić. Ponury młodzieniec pod oknem jest pewnie inżynierem. Młoda para odbywa podróż poślubną. Hinduska dziewczyna w zielonym sari jest prawdopodobnie studentką. A ta starsza pani rozjeżdża po świecie, wydając forsę, którą jej pozostawił zmarły małżonek.

— To twardy typ — szepnął pan Lecky — ale pewnie rzeczywiście zna się na metodach statystycznych

* * *

O czwartej ogłoszono, że do piątej trzeba będzie czekać na poprawę pogody. O piątej zapowiedziano odlot na szóstą. O siódmej znaleźli się w powietrzu.

Pasażerowie byli znudzeni, rozproszyli się po poszczególnych fotelach. Tylko młoda para wydawała się zadowolona ze wszystkiego. Gdy odpięto pasy bezpieczeństwa steward zaczął podawać tacki z obiadem.

Samolot unosił się nad szarymi chmurami, ściemniało się. Pasażerowie, okryci błękitnymi kocami, zaczęli szykować się do snu. O dziesiątej zgasły górne światła, tylko gdzieniegdzie świeciły cienką smużką lampki oświetlając fotele. Pan Cramp zgasił swoją o jedenastej trzydzieści, doktor One dokładnie o dwunastej.

Stewardessa i steward siedzieli w cichej kuchence popijając herbatę. W kabinie samolotu było ciemno i cicho. Dwanaście otulonych postaci, spoczywających na fotelach, wyglądało jak nieruchome worki.

Jakiś cień przesunął się wzdłuż kabiny, zatrzymał przy jednym z tych worków, następnie wsunął się na wolny fotel obok. Szum wiatru, huk motorów wydawał się bardzo głośny w ciszy nocnej. Lecz nie zagłuszył jakiegoś obcego dźwięku — jak gdyby dojrzały melon pękał pod uderzeniem tępej siekiery.

Chmury zaczynały różowieć. Zegarek doktora One wskazywał godzinę 2.45. Pan Cramp odezwał się z sąsiedniego fotela.

— Widzę, że tak samo, jak ja, zapomniał pan... Za późno poszliśmy spać.

— Zgasiłem jak zawsze punkt o dwunastej.

— Ale przegoniliśmy nasze zegarki. Tutaj jest już świt

Obaj wstali, aby rozprostować nogi. Większość postaci, spoczywających na fotelach, zaczynała się ruszać. Tylko gruby worek w czwartym rzędzie tam gdzie siedział pan Lecky pozostawał nieruchomy. Z kuchni dochodził zapach świeżo parzonej kawy.

Ponieważ doktor One i pan Cramp zajmowali najbliższe miejsca na nich padł pierwszy uśmiech stewardessy. Buzię miała koloru zorzy, oczy jak świetliste bursztyny. Obaj mężczyźni byli w nią wpatrzeni w chwili, gdy podawała im plastykowe filiżanki. Jej wzrok natomiast pobiegł dalej i nagle zobaczyła nie potargane włosy pana Lecky, lecz jego czoło, które ukazywało się ponad kocem

Stewardessy są dobrze wyselekcjonowane i znakomicie trenowane. Gdyby samolot nagle stanął w płomieniach, dziewczyna zapewne zachowałaby kamienny spokój i spokojnie udała się na swój posterunek. Ale są wypadki, których nie przewiduje żaden regulamin ani najstaranniejszy trening. Ręce stewardessy drgnęły tak nagle, że cała taca z filiżankami gorącej kawy spadła na kolana pana Crampa. Jego okrzyk bólu zmieszał się z jej okrzykiem przerażenia.

Nagle w samolocie zrobił się ruch. Wszyscy pchali się w stronę fotela pana Lecky. Nad ogólnym hałasem górował głośny głos pana One, który wydawał jakieś zbędne rozkazy. Hinduska dziewczyna starała się zbliżyć do zwisającego ciała, krzycząc, że jest lekarzem.

Na to magiczne słowo rozwarł się przed nią mur pasażerów. Zielone sari oparło się o poręcz fotela, oliwkowa twarz pochyliła się w skupieniu nad panem Lecky.

— Nie żyje — powiedziała Hinduska, choć już i tak wszyscy zdawali sobie z tego sprawę.

Jutrzenka dawno już przestała rozświetlać niebo, twarze pasażerów były szare i zmęczone, gdy doktor One powrócił na swoje miejsce. Fotele obok niego były nie zajęte, nieco dalej siedział tylko pan Cramp. Następne cztery miejsca zajęte były przez czterech mężczyzn, których twarze były spokojne i skupione. Tuż za nimi siedziała młoda para, po prawej stronie zaś Hinduska i kobieta o fryzurze w kształcie złotej chryzantemy, samotnie z tyłu ponury młody człowiek, z ręką niedbale opartą o sąsiedni fotel. Wszyscy siedzieli spokojnie i sztywno, jak uczniacy w szkole

(Dokończenie w następnym numerze)

Lewym okiem

MOŻNA PYTAĆ?

Przed paroma miesiącami doniosła warszawska prasa o upartym obywatelu, który drogą sądową dochodził odszkodowania od Miejskiej Komunikacji Autobusowej za to, że kupił bilet na autobus pośpieszny, a później tego pośpiesznego wcale nie było i powód spóźnił się do pracy. Powód wygrał sprawę i wypłacono mu symboliczne trzy złote.

Gdyby zobowiązania Polskich Kolei Państwowych traktować tak, jak sąd warszawski potraktował zobowiązania Autobusów Miejskich, wieleset tysięcy złotych przepłynęłoby do kieszeni łatwowiernych, a niezmiernie cierpliwych pasażerów. Ja wiem, istnieje wiele obiektywnych, nie do uniknięcia trudności. Z całym uznaniem jestem dla bardzo uprzejmej służby konduktorskiej i kontrolerskiej, czasem trafi się też uprzejmy kasjer. Obok tego ciągle jednak nadziewam się na sprawy, które wzmagają procent wydzielania kwasów w żołądku.

Przez wiele lat wracałem wieczornym pociągiem pośpiesznym z Warszawy do Łodzi. Chodził jak zegarek. Od roku przedłużono go do Łomży. Pisał już o tym jakiś rozgoryczony czytelnik w liście do „Głosu Robotniczego", podając szczegółowo daty i całe godziny spóźnień. Daty prawie kolejne, dzień po dniu. Pewnie nie jeździł codziennie. Ja też nie jeżdżę codziennie, ale ile razy jechałem — pociąg spóźnił się zawsze i to na odcinku Łomża — Warszawa.

Nie wiem, ilu pasażerów korzysta z omawianego pociągu od samej niewielkiej Łomży aż do Łodzi. Chyba znikoma liczba w porównaniu z tymi, którzy wsiadają w stolicy. Dla wygody tej znikomej grupki, setki ludzi tracą całe godziny, wracają późną nocą zamiast wieczorem, rano idą nieprzytomni do pracy albo spóźniają się bez usprawiedliwienia, bo w rozkładzie stoi, że wrócili o dwudziestej drugiej.

Czy nie właściwiej było rozdzielić trasę na dwie relacje z przesiadką, tak jak było dawniej?

Jedyna korzyść, że tylko dzięki wielkim opóźnieniom omawianego pośpiesznego można jako tako wrócić do Łodzi z Krakowa. No tak. Bo popołudniowy pociąg pośpieszny z Krakowa do Warszawy też zawsze się spóźnia i nie złapałby nigdy połączenia w Koluszkach na Łódź, gdyby nie to, że i to połączenie też się spóźnia: właśnie pośpieszny z Łomży. Czyli wystarczyłoby odpowiednio poprawić godziny w rozkładzie jazdy i wszystko by grało, bez odsiadywania wielogodzinnego na wszystkich dworcach w kraju. Nie są to na ogół miejsca, w których przyjemnie posiedzieć.

Pociąg osobowy ze Szczecina do Przemyśla jest w drodze kilkanaście godzin. Nie ma w nim wagonu restauracyjnego, takich wagonów istnieje w kraju dwadzieścia, a kursuje dwanaście. Reszta w remontach, remanentach, przyjęciach towaru. Jest za to w owym szczecińskim pociągu bufet Warsu, zaznaczony nawet na zewnętrznej ścianie wagonu. Bufet polega na tym, że w zwyczajnym osobowym przedziale stoi stos skrzynek z piwem, obsługiwany przez człowieka w białym fartuchu. Przez kilkanaście godzin starcy i dzieci przy piersi, dyrektorzy i żołnierze, prezesi i krewni wracający z pogrzebu mogą najwyżej popijać paskudne ciepłe piwsko wprost z butelki, o ile przebrną przez grupę zawianych, upartych piwoszów, sterczących tu przez całą drogę, i o ile dogadają się z „bufetowym", który też lubi piwo. Oprócz piwa nie ma w bufecie nic.

Można by jeszcze wypominać różności lub zadawać takie dziecinne pytania, jak: dlaczego pociąg osobowy 10.57 z Poznania do Kutna, a więc na odległości 180 km, jest w drodze 3 godziny i 25 minut, czyli jedzie ze średnią szybkością 51 km na godzinę, a ten sam pociąg w dalszym biegu, od Kutna do Łodzi, pokonuje tę trasę (67 km) w ciągu 2 godzin i 3 minut, czyli jego średnia szybkość spada nagle do trzydziestu czterech kilometrów? Przecież to wcale nie jest pod górę, a zresztą w przeciwnym kierunku proporcje bywają takie same...

Można pytać. Odpowiedzi nie będzie, za mali jesteśmy, żeby nam tłumaczyć wielkie tajemnice PKP.

CWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (red. naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Halina Bekowa (red. techniczny), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska. Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 739. IV. B-4